wolnelektury.pl

Joseph Conrad
(tłum. Aniela Zagórska)

Jądro ciemności

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JOSEPH CONRAD

MŁODOŚĆ I INNE OPOWIADANIA

Jądro ciemności

TŁUM. ANIELA ZAGÓRSKA

I

Jacht krążowniczy „Nellie" obrócił się na kotwicy bez najlżejszego trzepotu żagli i stanął bez ruchu. Przypływ się skończył, wiatr ucichł prawie zupełnie, a że jacht kierował się w dół rzeki, nie pozostawało nic innego, tylko zatrzymać się i czekać odpływu.

Przymorski obszar Tamizy rozciągał się przed nami jak początek nieskończonego wodnego szlaku. Morze i niebo w oddali spajały się z sobą bez śladu, a w świetlistej przestrzeni wysuszone na słońcu żagle szkut[1], dryfujących w górę z przypływem, zdawały się tkwić spokojnie w kępkach czerwonych, mocno napiętych płócien, błyskając pokostowanymi rejkami[2]. Na niskich brzegach stała mgła, ścieląca się ku morzu coraz cieńszą warstwą. Powietrze było ciemne nad Gravesend, a jeszcze dalej w głąb zdawało się zgęszczać w ponury mrok, skupiony w posępnym bezruchu nad najbardziej rozległym i najpotężniejszym miastem świata.

Naszym kapitanem i gospodarzem był dyrektor różnych towarzystw. Wszyscy czterej spoglądaliśmy ku niemu serdecznie, gdy stał na baku[3] tyłem do nas, patrząc w stronę morza. Na całej rzece nie było nikogo, kto by choć w części wyobrażał postać tak wybitnie marynarską. Przypominał pilota, który dla marynarza jest wcieleniem tego, co zasługuje na najwyższe zaufanie. Trudno było sobie wyobrazić, że teren jego pracy nie leży het tam, u świetlanego ujścia rzeki, lecz w górze Tamizy, wśród posępnego mroku.

Jednoczyła nas — jak już gdzieś powiedziałem — więź morza. Nie tylko że nie pozwalała, abyśmy o sobie zapomnieli w czasie długich okresów rozstania, ale uczyła nas wzajemnej pobłażliwości dla naszych opowiadań, a nawet poglądów. Prawnik — najmilszy z towarzyszy — miał ze względu na pokaźną ilość lat i cnót jedyną poduszkę na pokładzie i leżał na jedynej derce[4]. Buchalter[5] wydobył już pudełko z dominem i zabawiał się ustawianiem domków z kostek. Marlow siedział, skrzyżowawszy nogi, w głębi rufy, oparty o tylny maszt. Miał zapadłe policzki, żółtą cerę, proste plecy, wygląd ascety, a ze swymi obwisłymi ramionami i rękami leżącymi na kolanach dłonią ku górze podobny był do bożka. Dyrektor upewniwszy się, że kotwica dobrze trzyma, przyszedł na rufę i zasiadł między nami. Zamieniliśmy leniwie kilka słów. Potem zapadło na jachcie milczenie. Dla jakiejś tam przyczyny nie rozpoczynaliśmy partii domina. Opanowała nas zaduma i byliśmy zdolni tylko do spokojnego patrzenia przed siebie. Dzień się kończył wśród cichej pogody, wspaniałej, nieskazitelnej. Woda jaśniała spokojnie, niebo bez żadnej plamki było dobrotliwym bezmiarem nieskalanego światła; nawet mgły na mokradłach Essexu wyglądały jak zwiewna, promienista tkanina, która zawisła z lesistych wyniosłości w głębi lądu, układając się na niskich brzegach w fałdy przejrzystej draperii. Tylko ku zachodowi mrok tkwił posępnie nad górnym biegiem rzeki i ściemniał się z każdą minutą, jakby rozgniewany zbliżaniem się słońca.

Wieczór

[1] *szkuta* — niewielki statek rzeczny do przewozu ładunków. [przypis edytorski]
[2] *reja* — poziome drzewce, u dołu którego mocowany jest żagiel. [przypis edytorski]
[3] *bak* — górny pokład w dziobowej części statku. [przypis edytorski]
[4] *derka* — gruby koc. [przypis edytorski]
[5] *buchalter* (daw.) — księgowy. [przypis edytorski]

Wreszcie słońce zsunęło się nisko, zakreślając niedostrzegalny łuk, i od gorejącej białości przeszło w ciemną czerwień bez promieni i bez ciepła, jakby miało nagle zagasnąć, rażone śmiercią przy zetknięciu z owym mrokiem ścielącym się posępnie nad ciżbą ludzi.

Rzeka

Woda zmieniła oblicze natychmiast, a pogodna jasność stała się mniej świetna, lecz jakby głębsza. Stara rzeka, rozlana szeroko, wypoczywała bez ruchu u schyłku dnia — po całych wiekach dzielnej służby u rasy zaludniającej jej brzegi — rozpostarta spokojnie w swej godności wodnego szlaku wiodącego do najdalszych krańców ziemi. Nie patrzyliśmy na czcigodną rzekę przelotnym spojrzeniem krótkiego dnia, który zjawia się i odchodzi na zawsze, ale widzieliśmy ją w dostojnym świetle trwałych wspomnień. I zaiste, nic łatwiejszego dla ludzi, którzy — jak to się mówi — „poświęcili się morzu" z szacunkiem i przywiązaniem, niż wywołać wielkiego ducha przeszłości na przymorskim obszarze Tamizy. Przypływ i odpływ biegną tam i z powrotem w nieustającej służbie, przepełnione wspomnieniami o okrętach i ludziach, których niosły ku domowemu wytchnieniu lub ku walkom na morzach. Prądy te znały wszystkich mężów, którymi szczyci się naród, i służyły im wszystkim — od sir Francisa Drake'a[6] do sir Johna Franklina[7] — rycerzom utytułowanym lub nie, wielkim błędnym rycerzom morza. Prądy te dźwigały wszystkie statki, których imiona są jak drogocenne kamienie błyszczące w pomroce wieków, od „Złotej Łani[8]" powracającej z łonem pełnym skarbów — statku, co po odwiedzinach jej królewskiej mości znika z gigantycznej opowieści — aż do „Erebu" i „Terroru"[9], które puściły się na inne podboje, aby nigdy nie wrócić. Prądy te znały i okręty, i ludzi. Znały tych, co wypłynęli z Deptford, z Greenwich, z Erith — awanturników i osadników; znały okręty królewskie i okręty finansistów, kapitanów, admirałów, znały ciemne figury z handlu ze Wschodem i upełnomocnionych „generałów" wschodnio-indyjskich flot. Łowcy złota lub łowcy sławy, wszyscy płynęli tą rzeką dzierżąc miecz, a często i pochodnię — wysłannicy potęgi z głębi kraju, niosący iskry świętego ognia. Któraż wielkość nie płynęła z prądem tej rzeki, dążąc ku tajemnicy nieznanych ziem!... Marzenia ludzkie, nasiona rzeczypospolitych, zarodki cesarstw.

Słońce zaszło, zmierzch padł na rzekę i światła zaczęły się ukazywać wzdłuż brzegu. Latarnia morska Chapmana, stojąca na trzech nogach wśród błotnej ławicy, rzucała silny blask. Okrętowe światła dążyły żeglownym szlakiem — odbywał się wielki ruch światełek w górę i w dół rzeki. A dalej na zachód, nad górnym biegiem, leże miasta-olbrzyma znaczyło się wciąż złowieszczo na niebie — posępną mgłą w słońcu, mętnym blaskiem pod gwiazdami.

Ciemność

— A i to miejsce — rzekł nagle Marlow — było ongi jednym z mrocznych zakątków ziemi.

On jeden jedyny spośród nas wciąż jeszcze „służył na morzu". Najgorszy zarzut, jaki mógł spotkać Marlowa, to że nie był on typowym przedstawicielem swego zawodu. Był marynarzem, ale był również wędrowcem, gdy tymczasem większość marynarzy prowadzi, jeśli można się tak wyrazić, życie osiadłe. Ich usposobienie należy do kategorii domatorskich, a dom zawsze jest z nimi — okręt; tak samo jak ich kraj — morze. Jeden okręt jest bardzo podobny do drugiego, a morze zawsze jest jednakowe. Wśród niezmienności otoczenia obce wybrzeża, obce twarze, zmienny ogrom życia, przesuwają się koło nich przesłonięte bynajmniej nie poczuciem tajemnicy, lecz nieco pogardliwą niewiedzą; gdyż nie ma dla marynarza nic tajemniczego — chyba samo morze, które jest władcą jego istnienia, władcą równie niezbędnym jak los. Co zaś do reszty świata, przypadkowy spacer poza godzinami służby lub przypadkowa pijatyka na wybrzeżu wystarcza, aby odsłonić przed marynarzem tajemnicę całego kontynentu, i marynarz uważa na ogół, że tajemnica nie była warta poznania. Opowiadania żeglarzy są proste, bezpośrednie i zbytkiem sensu nie grzeszą. Lecz Marlow nie był typowym żeglarzem (wyjąwszy jego skłonność do opowiadań) i według niego sens jakiegoś epizodu nie tkwił w środku jak pestka, lecz

[6] *Drake, Francis* (1540–1596) — angielski kaper (licencjonowany pirat), żeglarz i polityk brytyjski, jako pierwszy Anglik opłynął kulę ziemską. [przypis edytorski]

[7] *Franklin, John* (1786–1847) — brytyjski admirał, badacz Arktyki, zginął w trakcie nieudanej ekspedycji badawczej. [przypis edytorski]

[8] *Złota Łania* — statek, na którym sir Francis Drake opłynął świat. [przypis edytorski]

[9] *„Ereb" i „Terror"* — statki zaginione razem z całą arktyczną ekspedycją sir Johna Franklina. [przypis edytorski]

otaczał z zewnątrz opowieść, która tylko rzucała nań światło — jak blask oświetla opary — na wzór mglistych aureoli widzialnych czasem przy widmowym oświetleniu księżyca.

Uwaga Marlowa nie zaskoczyła nas wcale. To było zupełnie w jego stylu. Przyjęliśmy ją w milczeniu. Nikt nie zdobył się nawet na mruknięcie, a on wkrótce zaczął znów mówić powoli:

Ciemność, Podróż

— Mam na myśli bardzo dawne czasy, kiedy Rzymianie przybyli tu po raz pierwszy, tysiąc dziewięćset lat temu — wczoraj... Światło biło później z tej rzeki — wspominaliście o rycerzach? Tak, ale to wszystko jest jak blask przebiegający równiną, jak błyskawica wśród chmur. Żyjemy w tym blasku — oby trwał, póki stara ziemia toczyć się będzie! Lecz wczoraj była tu ciemność. Wystawcie[10] sobie uczucia dowódcy pięknej — jak to się nazywało? — tryremy[11] na Morzu Śródziemnym, dowódcy odkomenderowanego nagle na północ: przebiega Galię w pośpiechu; powierzają mu jeden z tych statków, które legioniści — musieli to być cudowni ludzie i bardzo obrotni — budowali, jak się zdaje, całymi setkami w przeciągu miesiąca lub dwóch, jeśli można wierzyć temu, co się czyta. Wyobraźcie go sobie tam: istny koniec świata, morze barwy ołowiu, niebo barwy dymu, okręt o zwartości concertiny[12] — a dowódca prowadzi go w górę rzeki, wiozący zapasy czy rozkazy, czy co tam chcecie. Ławice piasku, bagna, lasy, dzicy ludzie, znikoma ilość pożywienia odpowiedniego dla cywilizowanego człowieka, a do picia nic prócz wody w Tamizie. Falerneńskiego wina[13] ani śladu; wysiadać na brzeg nie można. Tu i tam obóz wojskowy zagubiony w dziczy jak igła w kopcu siana — zimno, mgła, burze, choroby, wygnanie i śmierć czatująca w powietrzu, w wodzie, w gąszczu. Musieli tu ginąć jak muchy. Ale z pewnością dowódca poprowadził bardzo dobrze tę wyprawę, niewiele o tym myśląc — chyba później, kiedy się chełpił wszystkim, co przeszedł swojego czasu. Byli to ludzie dość mężni, by stawić czoła ciemności. A może takiemu dowódcy dodawała ducha nadzieja, że dostanie się z czasem do floty w Rawennie — jeśli miał dobrych przyjaciół w Rzymie i jeśli wytrzymał straszny klimat.

Albo wyobraźcie sobie, że przyzwoity, młody obywatel w todze — może cokolwiek za gorliwie uprawiający grę w kości — zjawia się tutaj w świecie jakiegoś prefekta[14] albo poborcy podatków, albo wreszcie kupca, by poprawić swój los. Ląduje na trzęsawisku, maszeruje przez lasy i osiadłszy na jakiejś placówce w głębi lądu czuje, że dzicz, ostateczna dzicz zamknęła się wkoło niego — tajemnicze życie dziczy, które tętni w lesie, w dżungli, w sercach dzikich ludzi. Nie ma wtajemniczenia w takie misteria. Nasz obywatel musi żyć pośród niepojętego, które jest także czymś obrzydłym. A jednocześnie to niepojęte ma czar, który zaczyna na niego działać. Czar ohydy, rozumiecie? Wyobraźcie sobie rosnący w tym człowieku żal, pragnienie ucieczki, bezsilny wstręt, poddanie się, nienawiść.

Zamilkł.

Przemoc, Idealista

— Zważcie — zaczął znów i siedząc ze skrzyżowanymi nogami podniósł rękę obróconą dłonią na zewnątrz, zupełnie jak Budda nauczający w europejskim ubraniu i bez lotosu — zważcie, że żaden z nas nie czułby tego samego. Ratuje nas wiara w skuteczność naszej pracy — poświęcenie się dla niej. Ale tamci ludzie nie przedstawiali doprawdy nic nadzwyczajnego. Kolonistami nie byli; podejrzewam, że ich administracja nie różniła się niczym od ucisku. Byli zdobywcami, do tego zaś potrzeba tylko bezmyślnej siły; i nie ma się czym szczycić, jeśli się ją posiada, ponieważ siła ta jest po prostu przypadkiem i wypływa ze słabości innych. Zagarniali, co mogli, ze zwykłej chciwości. Była to po prostu kradzież z włamaniem, masowe morderstwo na wielką skalę, a ludzie rzucali się w to na oślep — jak przystoi tym, którzy napastują mrok. Zdobywanie ziemi, polegające przeważnie na tym, że się ją odbiera ludziom o odmiennej cerze lub trochę bardziej płaskich nosach, nie jest rzeczą piękną, jeśli się w nią wejrzy zbyt blisko. Odkupia ją tylko idea. Idea tkwiąca w głębi; nie sentymentalny pozór, tylko idea; i altruistyczna wiara w tę ideę — coś, co można wyznawać i bić przed tym pokłony, i składać ofiary...

Urwał. Płomyki ślizgały się po rzece: małe, zielone płomyki, czerwone płomyki, białe płomyki, które się ścigały nawzajem, dopędzały, łączyły, krzyżowały — aby się rozstać

[10] *wystawić* (daw.) — wyobrazić. [przypis edytorski]
[11] *tryrema* — trirema, starożytny okręt wojenny z trzema rzędami wioseł. [przypis edytorski]
[12] *concertina* — odmiana akordeonu. [przypis edytorski]
[13] *falerneńskie wino* — wino z okolic Neapolu. [przypis edytorski]
[14] *prefekt* — urzędnik rzymski. [przypis edytorski]

śpiesznie lub powoli. Ruch handlowy wielkiego miasta trwał na bezsennej rzece wśród gęstniejącego mroku.

Przypatrywaliśmy się, czekając cierpliwie — nic innego nie można było robić aż do końca przypływu; lecz dopiero po dłuższym milczeniu Marlow rzekł wahająco: — Pamiętacie pewno, koledzy, że byłem czas jakiś marynarzem na słodkich wodach — i wówczas wiedzieliśmy już, że jest nam sądzone, nim zacznie się odpływ, wysłuchać jednej z rozlicznych przygód Marlowa, nie doprowadzających do żadnej konkluzji.

— Nie chcę nudzić was długo tym, co spotkało mnie samego — zaczął, zdradzając tą uwagą słabość właściwą wielu gawędziarzom, którzy tak często zdają się nie wiedzieć, co ich słuchaczy najbardziej interesuje — lecz aby zrozumieć wpływ, jaki to na mnie wywarło, musicie wiedzieć, jak się tam znalazłem, co zobaczyłem, jak popłynąłem w górę rzeki aż do miejsca, gdzie spotkałem się po raz pierwszy z tym nieborakiem. Był to najdalszy punkt mojej wyprawy i kulminacyjny punkt mych przeżyć. Rzucił jak gdyby pewien rodzaj światła na to, co mnie otaczało, i na moje myśli. Wszystko to było dość ponure i żałosne, i wcale nie nadzwyczajne — i nie bardzo jasne. Nie, nie było bardzo jasne. A jednak zdaje mi się, że rzuciło pewnego rodzaju światło.

Powróciłem wówczas, jak pamiętacie, do Londynu po dłuższej żegludze na Oceanie Indyjskim, Spokojnym, na morzach chińskich, po porządnej porcji Wschodu — trwało to około sześciu lat. Wałęsałem się tu i ówdzie, przeszkadzając kolegom w pracy i nachodząc wasze domy, zupełnie jakby mi niebo poruczyło[15] misję, aby was cywilizować. Przez pewien czas bardzo to było przyjemne, lecz wkrótce zmęczyłem się wypoczynkiem. Wówczas zacząłem rozglądać się za okrętem — co jest chyba najcięższą pracą na świecie. Ale okręty nie chciały nawet na mnie patrzeć. I ta zabawa zmęczyła mnie również.

Podróż

Otóż, kiedy byłem małym chłopczykiem, miałem namiętność do map. Wpatrywałem się godzinami w Południową Amerykę i Afrykę lub Australię, pogrążając się we wspaniałościach odkrywczych podróży. W owych czasach było jeszcze wiele miejsc pustych na ziemi, a jeśli które z nich wydawało mi się na mapie szczególnie ponętne (ale one wszystkie tak wyglądają), kładłem nań palec i mówiłem: „Pojadę tam, jak dorosnę". Pamiętam, że biegun północny należał do tych miejsc. No, nie zajechałem tam jeszcze, a teraz już próbować nie będę. Czar prysł. Inne znów miejsca były rozrzucone w okolicach równika i po wszelkich szerokościach geograficznych obu półkul. Zwiedziłem niektóre a nich i... no, nie będziemy o tym mówili. Ale było tam jedno — największe, najbardziej puste, że tak powiem — do którego ciągnęło mnie najsilniej.

Prawda, że w owej chwili to miejsce nie było już puste. Od czasów mego dzieciństwa zapełniły je rzeki i jeziora, i nazwy. Przestało być próżną przestrzenią pełną rozkosznej tajemnicy — białą plamą, budzącą w chłopcu wspaniałe marzenia. Przeobraziło się w miejsce, gdzie panuje mrok. Ale była tam przede wszystkim jedna rzeka, wielka, potężna rzeka, którą się oglądało na mapie, podobną do olbrzymiego, wyciągniętego węża, ze łbem w morzu, z tułowiem wijącym się poprzez rozległą krainę, z ogonem zagubionym w głębi lądu. A gdy przyglądałem się mapie przez okno wystawy, przykuwała mnie ta rzeka, jak wąż przykuwa wzrokiem ptaszka — niemądrego, małego ptaszka.

Przypomniałem sobie, że istnieje wielkie towarzystwo, spółka do handlu na tej rzece. Do licha! Przyszło mi na myśl, że przecież nie mogą prowadzić handlu bez posługiwania się jakimiś statkami na tej ogromnej wodnej przestrzeni — bez parowców! Dlaczego bym nie miał się postarać o dowództwo któregoś z nich? Szedłem dalej przez Fleet Street, ale nie mogłem się pozbyć tych myśli. Wąż mnie oczarował.

To handlowe towarzystwo było spółką z kontynentu; ale mam mnóstwo krewnych na kontynencie, ponieważ — jak mówią — taniej tam i wcale nie tak nieprzyjemnie, jakby się zdawało.

Pomoc

Z przykrością muszę wyznać, że zacząłem swych krewnych nudzić. Już to samo było dla mnie czymś zupełnie nowym. Rozumiecie, nigdy nie miałem zwyczaju w taki sposób brać się do rzeczy. Szedłem zawsze swoją własną drogą, na własnych nogach, tam, dokąd miałem ochotę. Nie byłbym wierzył, że jestem zdolny do czegoś podobnego, tylko że — widzicie — jakoś czułem, że muszę się tam dostać — tak czy inaczej. Więc ich zanudzałem. Mężczyźni mówili: „Mój drogi" — i nic nie robili. Wówczas — czy uwierzycie?

[15] *poruczyć* (daw.) — powierzyć. [przypis edytorski]

— wziąłem się do kobiet. Ja, Charlie Marlow, zaprzągłem do roboty kobiety, aby dostać posadę. Słowo daję! No, widzicie — prześladowała mnie ta myśl. Miałem ciotkę, zacną, entuzjastyczną duszę. Napisała mi: „To będzie cudowne. Gotowam zrobić dla Ciebie wszystko, wszystko. Myśl jest wspaniała. Znam żonę jednego z członków administracji postawionego bardzo wysoko; znam także człowieka, który ma wielkie wpływy" — itd., itd. Postanowiła póty suszyć głowę ludziom, póki mnie nie mianują kapitanem rzecznego parowca, ponieważ taka jest moja fantazja.

Śmierć

Dostałem nominację, oczywiście, i dostałem ją bardzo prędko. Zdaje się, że towarzystwo dowiedziało się o śmierci jednego z kapitanów, który został zabity w bójce z krajowcami. To było moje szczęście i tym bardziej zachciało mi się jechać. Dopiero w długie miesiące potem, gdym usiłował odzyskać ciało owego kapitana, dowiedziałem się, że źródłem kłótni było nieporozumienie co do kur. Tak, dwóch czarnych kur. Fresleven — tak się ów człowiek nazywał — Duńczyk, uważał, że go pokrzywdzono przy kupnie, wysiadł więc na ląd i zaczął okładać laską naczelnika wsi. Ach, nie zdziwiłem się wcale, gdy mi to opowiadali, zaznaczając równocześnie, że Fresleven był najłagodniejszą, najspokojniejszą istotą pod słońcem. Było tak z pewnością; ale przecież znajdował się tam już od paru lat, służąc wzniosłej idei i prawdopodobnie uczuł nareszcie potrzebę stwierdzenia w jakikolwiek sposób szacunku dla siebie samego. Dlatego też łupił bez litości starego Murzyna; naokoło gapił się tłum skamieniałych krajowców, aż wreszcie jeden z nich — podobno syn naczelnika — słuchając z rozpaczą wrzasków starca, rzucił w białego włócznią dla próby — i oczywiście włócznia uwięzła z łatwością między łopatkami. Potem cała ludność uciekła do lasu w oczekiwaniu wszelkich możliwych klęsk, zaś parowiec dowodzony przez Freslevena odpłynął również w wielkim popłochu, pod komendą maszynisty, o ile sobie przypominam. Później nikt już nie zdawał się troszczyć o szczątki Freslevena, póki się tam nie znalazłem jako jego następca. Nie mogłem tej sprawy zaniedbać, ale gdy wreszcie nastręczyła mi się sposobność zetknięcia z mym poprzednikiem, trawa rosnąca między jego żebrami dość była wysoka, aby zasłonić kości. Zostały wszystkie na miejscu. Nikt nie tknął nadnaturalnej istoty leżącej na ziemi. Wieś opustoszała, chaty stały otworem, czarne, butwiejące, krzywe wśród rozwalonych płotów. Klęska spadła istotnie na wieś. Ludność znikła. Obłąkany strach rozproszył wszystkich — mężczyzn, kobiety i dzieci; zaszyli się w gąszcz i nie wrócili już nigdy. Nie wiem doprawdy, co się stało z kurami. Przypuszczam, że sprawa postępu pozyskała je jakoś dla siebie. Tak czy owak, wskutek tej sławnej afery dostałem nominację, nim się jeszcze zacząłem naprawdę jej spodziewać.

Trup, Strach

Latałem na wszystkie strony jak wariat, aby się przygotować do wyjazdu, i przed upływem czterdziestu ośmiu godzin jechałem już przez kanał dla pokazania się pryncypałom[16] i podpisania kontraktu. W bardzo niewiele godzin przybyłem do miasta, które przypomina mi zawsze pobielany grób[17]. Z pewnością to uprzedzenie. Znalazłem bez trudu biura kompanii. Był to największy budynek w mieście i każdy, kogo tylko spotkałem, mówił o tym towarzystwie. Spółka miała się zabrać do założenia zamorskiego cesarstwa i zdobyć nieskończone mnóstwo pieniędzy za pomocą handlu.

Wąska, opustoszała uliczka w głębokim cieniu, wysokie domy, niezliczone okna o weneckich żaluzjach, martwa cisza, trawa między kamieniami, imponujące wjazdowe arkady na prawo i lewo, olbrzymie masywne, nieco uchylone podwoje. Wślizgnąłem się przez jedną z tych szpar, wszedłem po zamiecionych, nagich schodach, jałowych jak pustynia, i otworzyłem pierwsze z napotkanych drzwi. Dwie kobiety, jedna tęga, a druga szczupła, siedziały na krzesłach wyplatanych słomą, robiąc coś na drutach z czarnej wełny. Szczupła podniosła się i szła wprost na mnie ze spuszczonymi oczyma — nie przestając poruszać drutami — i dopiero gdy pomyślałem, że trzeba ustąpić jej z drogi jak lunatyczce, zatrzymała się i podniosła oczy. Miała suknię prostą jak futerał od parasola; odwróciła się bez słowa i zaprowadziła mnie do poczekalni. Wymieniłem swoje nazwisko i zacząłem się rozglądać. W środku był stół z sosnowego drzewa, zwykłe krzesła stały pod ścianami, w jednym końcu pokoju wisiała wielka, błyszcząca mapa, znaczona wszystkimi kolorami tęczy. Była tam wielka ilość czerwieni — którą zawsze miło jest widzieć, ponieważ z góry wiadomo, że odbywa się tam bardzo konkretna praca — całe mnóstwo błękitu, trochę

[16]*pryncypał* (daw.) — zwierzchnik. [przypis edytorski]

[17]*do miasta, które przypomina mi zawsze pobielany grób* — prawdopodobnie mowa tu o Brukseli. [przypis edytorski]

zieleni, pasma pomarańczowe, a na wschodnim wybrzeżu purpurowa łata, aby pokazać, gdzie weseli pionierzy postępu popijają wesołe piwo lagrowe. Ale nie wybierałem się do żadnego z tych kolorów. Wybrałem się do żółtego. W samym środku mapy — jak strzelił. I rzeka była tam także — przykuwająca — śmiertelna — niby wąż. Brr!

Otworzyły się drzwi, ukazała się białowłosa głowa sekretarza o współczującym wyrazie twarzy i kościsty palec kiwnął na mnie. Wszedłem do sanktuarium. Światło tu było przyćmione, a ciężkie biurko przykucnęło w środku pokoju. Doznałem wrażenia, że za tym gmachem tkwi blada otyłość w surducie[18]. Był to ów wielki człowiek we własnej osobie. Liczył zapewne jakieś pięć stóp sześć cali, a dzierżył[19] w ręku bardzo wiele milionów. Podał mi dłoń, o ile pamiętam, szepnął coś nieokreślonego, wyraził uznanie dla mojej francuszczyzny[20]. *Bon voyage*[21].

Po upływie czterdziestu pięciu sekund mniej więcej znalazłem się znów w poczekalni w towarzystwie współczującego sekretarza, który — strapiony i pełen sympatii — dał mi do podpisania jakiś dokument. Zdaje mi się, że między innymi zobowiązałem się do zachowania wszystkich handlowych sekretów. No i nie zamierzam ich zdradzić.

Zacząłem odczuwać lekki niepokój. Wiecie, że nie jestem przyzwyczajony do takich ceremonii, a przy tym w tej atmosferze było coś złowieszczego. Zupełnie jakby mnie wtajemniczono w jakiś spisek — nie umiem tego określić — jakby coś było niezupełnie w porządku; cieszyłem się, kiedym się stamtąd wydostał. W przyległym pokoju owe dwie kobiety robiły gorączkowo na drutach coś z czarnej wełny. Zjawiali się interesanci i młodsza z kobiet, wprowadzając ich, chodziła tam i na powrót. Stara siedziała na krześle. Płaskie sukienne pantofle oparła o ogrzewacz do nóg, a na jej kolanach spoczywał kot. Na głowie miała jakąś białą, wykrochmaloną historyjkę, brodawkę na policzku i okulary w srebrnej oprawie zsunięte na koniec nosa. Popatrzyła na mnie znad szkieł. Zmieszał mnie obojętny spokój tego szybkiego spojrzenia. Wprowadzono właśnie dwóch młodzików o głupkowatych, wesołych twarzach, a stara rzuciła im takie samo szybkie spojrzenie, mądre i obojętne. Zdawało się, że wie o nich wszystko, a także i o mnie. Poczułem zabobonny lęk. Wydała mi się niesamowita i złowroga. Często — gdy byłem już daleko — myślałem o tych dwóch kobietach, odźwiernych u wrót Ciemności, robiących na drutach jakby ciepły całun z czarnej wełny; wspominałem, jak jedna z nich wprowadza, wprowadza bez końca w nieznane, a druga bada obojętnie starymi oczami wesołe i głupie twarze. *Ave*! stara pracownico, migająca drutami nad czarną przędzą. *Morituri te salutant*.[22] Niewielu z tych, na których spojrzała, zobaczyło ją znowu — znacznie mniej niż połowa.

Czekała mnie jeszcze wizyta u doktora. „Prosta formalność" — zapewnił mnie sekretarz z takim wyrazem twarzy, jak gdyby brał pokaźny udział we wszystkich moich strapieniach. Jakiś młodzik w kapeluszu naciśniętym na lewą brew, zapewne urzędnik — musieli tam być i urzędnicy w tej spółce, choć dom był cichy, jakby się znajdował w mieście umarłych — zeszedł skądś z góry i poprowadził mnie. Obszarpany był i zaniedbany, rękawy kurtki miał poplamione atramentem, a pod brodą, przypominającą czubek starego buta, tkwił wielki, falisty krawat. Na doktora było jeszcze trochę za wcześnie, więc zaproponowałem, żebyśmy się czegoś napili, dzięki czemu mój towarzysz puścił wodze swej wesołości. Gdyśmy już siedzieli przy kieliszkach wermutu, zaczął się unosić nad interesami spółki; od słowa do słowa, wyraziłem mimochodem zdziwienie, że on sam nie wybiera się do Afryki. Ochłódł natychmiast i stał się bardzo opanowany.

— Nie taki dureń ze mnie, na jakiego wyglądam, rzekł Platon do swoich uczniów — powiedział sentencjonalnie i wychylił kieliszek z wielką stanowczością, po czym wstaliśmy z miejsc.

Stary doktor wziął mnie za puls, myśląc najwidoczniej zupełnie o czym innym. Lekarz, Szaleństwo

[18]*surdut* — rodzaj dwurzędowej marynarki, popularnej na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

[19]*dzierżyć* (daw.) — trzymać. [przypis edytorski]

[20]*wyraził uznanie dla mojej francuszczyzny* — Conrad wielokrotnie podkreśla, że bohaterowie opowieści Marlowa rozmawiają ze sobą po francusku. [przypis edytorski]

[21]*bon voyage* (fr.) — dobrej podróży. [przypis edytorski]

[22]*Ave! […] Morituri te salutant* (łac.) — Witaj... pozdrawiają cię idący na śmierć (tradycyjny okrzyk gladiatorów na widok cesarza). [przypis edytorski]

— W porządku, może pan jechać — mruknął i zapytał z pewną skwapliwością[23], czy bym mu nie pozwolił zmierzyć swej głowy. Odrzekłem: „dobrze" — nieco tym zaskoczony, a on wyciągnął coś w rodzaju cyrkla i zrobił pomiary z tyłu, z przodu i ze wszystkich stron, notując starannie. Był to nieogolony człowieczek w wytartym kaftanie podobnym do opończy i pantoflach; wyglądał na nieszkodliwego durnia.

— W interesie nauki — rzekł — proszę zawsze tych, którzy tam jadą, aby mi pozwolili zmierzyć swe czaszki.

— A gdy wracają, robi pan to samo? — zapytałem.

— Ach, nigdy się już z nimi nie stykam — zauważył — a przy tym, widzi pan, zmiany zachodzą w środku. — Uśmiechnął się jak po wypowiedzeniu przyjemnego żartu. — Więc pan tam jedzie. Świetnie. To bardzo zajmujące. — Spojrzał na mnie badawczo i znów coś zanotował. — Czy nie było kiedy w pańskiej rodzinie wypadku obłąkania? — zapytał rzeczowym tonem.

Zaczynało mnie to mocno drażnić.

— Pan pyta o to również w interesie nauki?

— Byłoby rzeczą zajmującą — odrzekł, nie zwracając uwagi na moje rozdrażnienie — gdyby można dla celów naukowych śledzić tam, na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach, ale...

— Czy pan jest psychiatrą? — przerwałem.

— Każdy lekarz powinien być trochę psychiatrą — odparł z niewzruszonym spokojem oryginał. — Mam pewną teoryjkę, do której udowodnienia wy, panowie, udający się tam, musicie mi pomóc. To jest mój udział w korzyściach, jakie kraj mój[24] powinien osiągnąć z posiadania tej wspaniałej kolonii[25]. Bogactwa zostawiam innym. Proszę mi wybaczyć te pytania, ale pan jest pierwszym Anglikiem, który się dostaje pod moją obserwację...

Pospieszyłem go zapewnić, że nie jestem bynajmniej typowy.

— Gdyby tak było — rzekłem — nie rozmawiałbym z panem w ten sposób.

— To, co pan mówi, jest dość głębokie i prawdopodobnie błędne — rzekł ze śmiechem. — Niech pan się wystrzega irytacji jeszcze bardziej niż przebywania na słońcu. *Adieu*[26]. Jak to mówicie po angielsku, co? *Good-bye*[27]. Aha! *Good-bye*. *Adieu*. Pod zwrotnikami trzeba przede wszystkim zachowywać spokój... — Podniósł ostrzegawczo palec... — *Du calme, du calme*[28]. *Adieu*.

Pozostawało mi jeszcze jedno — pożegnać się z moją zacną ciotką. Zastałem ją tryumfującą. Wypiłem filiżankę herbaty — ostatnią filiżankę porządnej herbaty na długi przeciąg czasu — i w pokoju, który wyglądał właśnie tak, jak sobie wyobrażamy kobiecy salon, co podziałało na mnie niezmiernie kojąco, ucięliśmy przy kominku długą, spokojną gawędę. W ciągu tych zwierzeń zrozumiałem, że opisano mnie żonie wysokiego dygnitarza — i poza tym Bóg raczy wiedzieć ilu innym osobom — jako wyjątkową i szczególnie obdarzoną przez los istotę, człowieka opatrznościowego dla spółki, jakiego się często nie spotyka. Miłosierny Boże! a ja miałem objąć komendę na jakimś tam marnym rzecznym parowcu, zaopatrzonym w taniutką gwizdawkę. Okazało się przy tym, że jestem także Działaczem, przez duże „D" — rozumiecie. Niby wysłańcem świata, niby apostołem pośledniejszego gatunku. W owych czasach rozpuszczano masę takich bredni w druku i słowie i zacna moja ciotka, żyjąca pośrodku tej całej blagi, straciła równowagę. Póty rozprawiała o tym, że „trzeba odzwyczaić miliony tych ciemnych ludzi od ohydnego ich życia", aż wreszcie — daję wam słowo — zrobiło mi się jakoś głupio. Ośmieliłem się nadmienić, że przecież spółka została założona dla zysku.

— Zapominasz, kochany Charlie, że każda praca zasługuje na zapłatę — rzekła wesoło.

To ciekawe, jak dalece kobiety nie mają poczucia rzeczywistości. Żyją we własnym Kobieta, Idealista

[23] *skwapliwość* — ostentacyjna gotowość a. pośpiech. [przypis edytorski]

[24] *kraj mój* — mowa o Belgii, której król, Leopold II (1835–1909), władał również Wolnym Państwem Kongo, prowadząc tam rabunkową gospodarkę i ludobójczą politykę. [przypis edytorski]

[25] *tej wspaniałej kolonii* — mowa o Wolnym Państwie Kongo, funkcjonującym w latach 1885–1908. [przypis edytorski]

[26] *adieu* (fr.) — do widzenia (dosł.: z Bogiem). [przypis edytorski]

[27] *good-bye* (ang.) — do widzenia. [przypis edytorski]

[28] *Du calme, du calme* (fr.) — spokojnie, spokojnie. [przypis edytorski]

świecie, który właściwie nigdy nie istniał i istnieć nie może. Jest na to o wiele za piękny, a gdyby można taki świat zbudować, rozleciałby się przed zachodem słońca. Pierwszy lepszy nieznośny fakt, z którym my mężczyźni współżyjemy zgodnie od chwili stworzenia, wyrwałby się i dałby w łeb całej historii.

Zostałem uściskany, przykazano mi, abym nosił flanelę, abym często pisywał i tak dalej — i pożegnałem się. Na ulicy — nie wiem dlaczego — opanowało mnie dziwne wrażenie, iż jestem oszustem. Szczególna rzecz, że ja, który przywykłem był wyruszać w jakąkolwiek stronę świata w przeciągu dwudziestu czterech godzin, poświęcając temu mniej uwagi niż inni przejściu na drugą stronę ulicy, miałem chwilę, nie powiem wahania, ale ociągania się i lęku wobec takiej zwykłej historii. Najlepiej wam to wytłumaczę, gdy powiem, że przez parę sekund doznałem uczucia, jakbym się wybierał nie do środka jakiegoś kontynentu, ale do środka ziemi.

Wsiadłem na francuski parowiec, który zajeżdżał do wszystkich zakazanych portów, jakie Francuzi mają tam po drodze — jedynie po to, o ile się mogłem połapać, aby wysadzać na ląd żołnierzy i urzędników komory celnej. Przypatrywałem się wybrzeżu. Obserwowanie brzegu, który przesuwa się koło okrętu, przypomina rozwiązywanie zagadki. Oto leży przed wami wybrzeże, uśmiechnięte, chmurne, powabne, wspaniałe, nędzne, banalne albo dzikie — a zawsze nieme, choć zdaje się szeptać: chodź i przekonaj się. Ten zaś brzeg był prawie zupełnie bez charakteru, jakby się jeszcze nie ukształtował, a wygląd miał ponury i monotonny. Skraj olbrzymiej dżungli — o zieleni tak ciemnej, że wydawała się prawie czarna — obramowany białą frędzlą nadbrzeżnych fal, biegł prosto jak nakreślony przy pomocy linii — daleko, hen, daleko wzdłuż błękitnego morza, którego połysk był przyćmiony przez pełzającą mgłę. Słońce paliło okrutnie, ziemia zdawała się błyszczeć i ociekać kroplami pary. Gdzieniegdzie popielato-białe plamki ukazywały się grupkami na wybrzeżu poza białą linią fal; czasem powiewała nad nimi flaga. Były to osady liczące po kilka wieków, a jednak nie większe niż główki od szpilek na nietkniętym obszarze kraju. Statek sunął ciężko wzdłuż brzegu, zatrzymywał się, wysadzał żołnierzy; jechał dalej, wysadzał urzędników komory celnej, aby pobierali cło na wybrzeżu, które wyglądało jak pustka zapomniana przez Boga, z zagubioną w niej blaszaną szopą i słupem od flagi; i znów wysadzał żołnierzy — prawdopodobnie, aby pilnowali urzędników komory celnej. Mówiono mi, że kilku z nich utonęło w nadbrzeżnych falach, ale nikt nie zdawał się o to troszczyć. Wyrzucono ich tam po prostu i jechaliśmy dalej. Dzień po dniu brzeg wyglądał tak samo, jakbyśmy nie poruszali się wcale; przejeżdżaliśmy koło różnych miejsc — osad handlowych — o nazwach takich jak Gran'Bassam, Little Popo; nazwach, które zdawały się należeć do jakiejś plugawej farsy odgrywanej na tle posępnej kurtyny. Bezczynność pasażera, osamotnienie wśród tych wszystkich ludzi, z którymi nie miałem żadnych punktów stycznych, oleiste i leniwe morze, jednostajna posępność wybrzeża, trzymały mnie jakby z dala od rzeczywistości — uwikłanego w sieci żałobnej i bezsensownej ułudy. Głos nadbrzeżnych fal, dochodzący niekiedy, stanowił dla mnie prawdziwą przyjemność jak odezwanie się brata. Był to objaw naturalny, coś, co miało swoją przyczynę i jakieś znaczenie. Niekiedy łódź z wybrzeża dawała mi chwilowy kontakt z rzeczywistością. Wiosłowali w niej czarni ludzie. Można było dojrzeć z daleka połyskujące białka ich oczu. Krzyczeli, śpiewali; ciała ich oblewał pot, twarze przypominały groteskowe maski; ale mieli kości, muskuły, dziką żywotność, intensywną energię w ruchach, co było równie naturalne i prawdziwe, jak fale rozbijające się o brzeg. Ich obecność nie wymagała usprawiedliwienia. Widok tych ludzi stanowił wielką pociechę. Przez pewien czas czułem, że należę jeszcze do świata prostych faktów; ale to nie trwało długo. Zawsze coś zaszło i przepłoszyło to uczucie. Raz, pamiętam, natknęliśmy się na statek wojenny zakotwiczony daleko od brzegu. Na lądzie nie było nawet szopy, a jednak statek obrzucał gąszcz pociskami. Okazało się, że Francuzi prowadzą wojnę w tamtych okolicach. Flaga statku zwisała jak łachman; lufy długich, sześciocalowych armat wystawały ze wszystkich stron niskiego kadłuba; statek wznosił się leniwie i opadał na tłustej, mulistej fali, chwiejąc cienkimi masztami. Wśród niezmierzonej pustki ziemi, nieba i wody tkwił ten niepojęty okręt i strzelał w głąb kontynentu. Bum! odzywała się jedna z sześciocalowych armat; drobny płomyk wyskakiwał i znikał, niewielki kłąb białego dymu rozpływał się w powietrzu, drobny pocisk zaskrzeczał słabo — i nic nie następowało. Nic nastąpić nie

Natura

Walka

mogło. Było w tym coś obłąkanego, widok ten przypominał ponurą krotochwilę[29] i nie rozproszył tego wrażenia jakiś człowiek z pokładu zapewniający mnie poważnie, że tam jest obóz krajowców — nazywał ich nieprzyjaciółmi! — ukryty gdzieś w głębi.

Doręczyliśmy wojennemu statkowi listy (mówiono mi, że ludzie na tym samotnym okręcie umierają na febrę przeciętnie po trzech dziennie) i popłynęliśmy dalej. Odwiedziliśmy jeszcze kilka innych miejscowości o nazwach jak z farsy, gdzie śmierć i handel wiodą wesoły taniec wśród cichej atmosfery nasyconej zapachem ziemi, niby w przegrzanych katakumbach[30]; płynęliśmy wzdłuż bezkształtnego wybrzeża obramionego pianą niebezpiecznych nadbrzeżnych fal, jakby sama przyroda usiłowała odeprzeć intruzów; wjeżdżaliśmy w ujścia rzek — strumieni śmierci toczących się wśród życia — których brzegi rozpadały się w błoto, których wody, zgęszczone w szlam, ogarniały poskręcane mangrowce[31], zdające się wić przed naszym wzrokiem w ostatecznej, bezsilnej rozpaczy. Nie zatrzymaliśmy się nigdzie tak długo, aby można było doznać jakichś szczególnych wrażeń, ale ogólne uczucie nieokreślonego i dotkliwego zdziwienia wciąż we mnie wzrastało. Była to jakby uciążliwa pielgrzymka wśród zapowiedzi nocnych zmór.

Minęło z górą trzydzieści dni, nim zobaczyłem ujście wielkiej rzeki[32]. Zapuściliśmy kotwicę naprzeciw siedziby rządowej[33]. Ale moja praca miała się zacząć dopiero o jakieś dwieście mil dalej. Toteż wyruszyłem możliwie najprędzej do miejscowości położonej trzydzieści mil w górę rzeki.

Odbyłem drogę na małym morskim parowcu. Kapitan, Szwed, wiedział, że jestem marynarzem, i zaprosił mnie na mostek. Był to człowiek młody, szczupły, nasępiony blondyn; włosy miał rzadkie i powłóczył nogami. Gdyśmy odbijali od lichego, małego pomostu, wskazał pogardliwie głową na brzeg.

— Mieszkał pan tam? — zapytał.

— Tak — odpowiedziałem.

— Niezłe okazy ci rządowi faceci, co? — mówił dalej po angielsku z wielką precyzją i głębokim rozgoryczeniem. — To ciekawe, czego się niektórzy ludzie nie podejmą za parę franków na miesiąc. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje z takimi osobnikami, kiedy się znajdą tam, w górze rzeki?

Odrzekłem, że mam nadzieję wkrótce się o tym przekonać.

— Więc to ta-a-k! — wykrzyknął. Przeszedł w poprzek statku powłócząc nogami i zerkając czujnie ku przodowi. — Niech pan nie będzie zanadto pewien siebie — mówił dalej. — Parę dni temu odczepiłem człowieka, który się powiesił na drodze. Był to także Szwed. Samobójstwo

— Powiesił się! Dlaczego, na miłość boską? — wykrzyknąłem. Kapitan patrzył wciąż bacznie ku przodowi.

— Któż to wie? Może nie mógł znieść tutejszego słońca, a może i kraju.

Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie rzeka się rozszerzała. Ukazało się skaliste urwisko, wały wydobytej ziemi na brzegu, domy na wzgórzu; inne domki o żelaznych dachach tkwiły wśród pustki porytej wykopanymi jamami lub przywierały do stoku. Nieustanny szum bystrego nurtu rzeki unosił się nad tym wizerunkiem zamieszkałej pustyni. Gromada ludzi, przeważnie czarnych i nagich, roiła się jak mrówki. Pomost wstępował w rzekę. Od czasu do czasu oślepiające słońce zalewało nagle to wszystko wzmocnionym jeszcze blaskiem.

— Oto stacja waszej spółki — rzekł Szwed, wskazując trzy drewniane budynki podobne do baraków, stojące na skalistej pochyłości. — Odeślę tam panu rzeczy. Cztery skrzynie, tak? Dobrze. Żegnam pana.

Natknąłem się na kocioł poniewierający się w trawie i znalazłem ścieżkę prowadzącą na wzgórze. Skręciłem w bok z powodu leżących na drodze głazów i małego wagonika przewróconego do góry kołami. Jednego z nich brakowało. Wagonik wyglądał tak martwo, jakby był trupem jakiegoś zwierzęcia. Natrafiłem znów na rozlatujące się maszyny, Maszyna

[29] *krotochwila* (daw.) — żart. [przypis edytorski]

[30] *katakumby* — podziemne korytarze, w okresie wczesnochrześcijańskim często spełniające funkcje cmentarzy. [przypis edytorski]

[31] *mangrowce* — namorzyny, roślinność przybrzeżna. [przypis edytorski]

[32] *ujście wielkiej rzeki* — mowa o rzece Kongo. [przypis edytorski]

[33] *siedziba rządowa* — Boma, stolica Konga Belgijskiego. [przypis edytorski]

na stos zardzewiałych szyn. Po lewej stronie kępa drzew rzucała nieco cienia, w którym jakieś ciemne kształty zdawały się lekko poruszać. Przymrużyłem oczy; ścieżka była stroma. Na prawo zadźwięczał róg i spostrzegłem, że czarni się rozbiegają. Ciężki i głuchy huk wstrząsnął ziemią, kłąb dymu wydobył się ze skały, i to było wszystko. Żadna zmiana w skale nie zaszła. Budowano tam kolej. Owa skała nie mogła przeszkadzać w robocie, ale bezcelowe jej wysadzanie było całą pracą, jaką wykonywano.

Niewola

Usłyszałem za sobą lekki brzęk i odwróciłem głowę. Sześciu czarnych ludzi szło ścieżką gęsiego, dążąc z trudem pod górę. Szli powoli, wyprostowani, niosąc na głowie małe kosze pełne ziemi, a brzęk towarzyszył miarowo ich krokom. Wkoło bioder mieli przepaski z czarnych łachmanów, których krótkie końce chwiały się z tyłu jak ogony. Można było policzyć wszystkie żebra tych ludzi; stawy ich członków[34] wyglądały jak węzły na linie. Każdy miał na szyi żelazną obrożę, a wszyscy byli połączeni łańcuchem, którego ogniwa kołysały się między nimi rytmicznym dźwiękiem. Drugi wybuch rozległ się od strony tej samej skały i przypomniał mi nagle ów statek wojenny, któremu się przypatrywałem, gdy strzelał w głąb kontynentu. Był to ten sam rodzaj złowieszczego huku; ale tych ludzi żadną miarą nie można było nazwać nieprzyjaciółmi — nawet przy największym wysiłku wyobraźni. Nazwano ich zatem zbrodniarzami, a pogwałcone przez nich prawo, tak jak i pękające pociski, przybyły zza morza — niezbadane, tajemnicze. Wychudłe piersi Murzynów dyszały równocześnie, rozdęte gwałtownie nozdrza drgały, oczy patrzyły kamiennym wzrokiem w górę przed siebie. Przeszli o sześć cali ode mnie nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia, z zupełną, śmiertelną obojętnością dzikich, którzy są nieszczęśliwi. W ślad za tym surowym materiałem jeden z nawróconych krajowców — rezultat działania nowych sił — wlókł się zgnębiony, trzymając strzelbę przez środek. Miał na sobie mundurową kurtkę, u której brakowało guzika, i spostrzegłszy na ścieżce białego, podniósł z pośpiechem broń na ramię. Była to zwykła ostrożność; nie mógł poznać od razu, kim jestem, ponieważ biali są na odległość bardzo do siebie podobni. Uspokoił się szybko i wykrzywił twarz, pokazując białe zęby w szerokim, łotrowskim uśmiechu, przy czym ogarnął spojrzeniem powierzonych mu ludzi. Jakby poczuwał się do koleżeństwa ze mną w pełnieniu wzniosłych obowiązków. Przecież ja byłem również cząstką wielkiej przyczyny, wywołującej to wyższe i sprawiedliwe postępowanie.

Prawo

Zamiast iść w górę, odwróciłem się i zacząłem schodzić na lewo. Chciałem, aby ci więźniowie skuci łańcuchem zniknęli mi z oczu, zanim znów zacznę się wspinać. Wiecie, że specjalnie czuły nie jestem; wypadało mi nieraz i zadawać ciosy, i odbierać je. Czasem musiałem się bronić, a czasem atakować — co jest tylko pewną formą obrony — nie zastanawiając się wiele, zgodnie z wymaganiami życia, w jakie wdepnąłem. Widywałem szatana przemocy i szatana chciwości, i szatana pożądliwości; ale, na Boga! byli to silni, jurni szatani o ognistych ślepiach, którzy rządzili i powodowali[35] ludźmi — ludźmi, mówię wam. Lecz stojąc tam, na zboczu wzgórza, poczułem, że pod oślepiającym blaskiem słońca w tym kraju zapoznam się z rozlazłym, kłamliwym, bladookim diabłem, opiekunem drapieżnej i bezlitosnej głupoty. Jak chytry umiał być także, przekonałem się dopiero po kilku miesiącach i o tysiąc mil dalej. Zatrzymałem się, przerażony, jak gdyby mnie ktoś ostrzegł. Wreszcie zacząłem schodzić na ukos ze wzgórza, kierując się ku drzewom, które przedtem widziałem.

Diabeł, Głupota

Obszedłem wielką dziurę, wykopaną przez kogoś na zboczu w celu niemożliwym do przeniknięcia. Nie wyglądała w każdym razie ani na kamieniołom, ani na jamę, z której wybrano piasek. Była to po prostu dziura. Może miała coś wspólnego z filantropijnym[36] zamiarem dostarczenia zbrodniarzom jakiegoś zajęcia. Nie wiem. Potem znów o mało co nie wpadłem do bardzo wąskiej szczeliny, wyglądającej na zboczu jak nieznaczna blizna. Odkryłem, że wrzucono tam całe mnóstwo rur sprowadzonych dla[37] zdrenowania[38] osady. Potłukły się co do jednej. Był to objaw rozpasanego niszczycielstwa.

[34] *członki* (daw.) — kończyny. [przypis edytorski]
[35] *powodować* (daw.) — kierować. [przypis edytorski]
[36] *filantropijny* — miłosierny. [przypis edytorski]
[37] *dla* (daw.) — w celu. [przypis edytorski]
[38] *zdrenować* — (o glebie) wysuszyć, odprowadzając nadmiar wody. [przypis edytorski]

Dotarłem wreszcie do drzew. Zamierzałem powałęsać się trochę w ich cieniu; ale ledwie się tam znalazłem, wydało mi się, że przestąpiłem ponury krąg jakiegoś *inferno*[39]. Wartkie prądy pobliskiej rzeki wytwarzały nieustanny, jednostajny, ślepy, gwałtowny hałas, przepełniający tajemniczym rytmem żałobny spokój gaju, jak gdyby gwałtowny rytm rozpędzonej ziemi stał się nagle słyszalny wśród drzew, gdzie się nie czuło najlżejszego powiewu, gdzie nie drgnął żaden listek.

Śmierć, Choroba, Głód

Czarne kształty czołgały się, leżały siedziały między drzewami, opierając się o pnie, tuliły się do ziemi — to widzialne, to przesłonięte mętnym półmrokiem — we wszelkich możliwych pozach wyrażających ból, zgnębienie i rozpacz. Rozległ się znowu wybuch miny w skale i ziemia wzdrygnęła się lekko pod mymi nogami. Praca posuwała się naprzód. Praca! A tutaj było miejsce, gdzie niektórzy jej wykonawcy usunęli się, aby umrzeć.

Umierali powoli — to nie ulegało wątpliwości. Nie byli nieprzyjaciółmi, nie byli zbrodniarzami, nie zostało w nich już nic ziemskiego — były to tylko czarne cienie choroby i głodu, leżące bezwładnie w zielonawym mroku. Ściągnięci ze wszystkich zakątków wybrzeża na podstawie legalnych kontraktów, rzuceni w nieodpowiednie warunki, żywieni nieodpowiednią strawą, osłabli, stali się niezdolni do pracy; pozwolono im wreszcie odpełznąć i wypoczywać. Te konające postacie były wolne jak powietrze — i prawie równie niematerialne. Zacząłem rozróżniać połysk oczu pod drzewami. Potem, spojrzawszy w dół, zobaczyłem twarz tuż koło mej ręki. Czarny szkielet leżał wyciągnięty na ziemi, opierając się ramieniem o drzewo; powieki jego podniosły się z wolna i zapadłe oczy spojrzały na mnie, olbrzymie i nieprzytomne; w głębi orbit zatliło się jakby ślepe, białe światełko i gasło powoli. Ów człowiek wyglądał na młodego — był to prawie chłopiec — ale wiecie, że trudno się w nich połapać. Nie miałem pojęcia, co bym mógł zrobić dla niego, i tylko podałem mu suchar ofiarowany mi na okręcie przez zacnego Szweda. Palce biedaka zamknęły się powoli wkoło suchara i trzymały go — był to ostatni ruch, jaki dostrzegłem, ostatnie spojrzenie. Naokoło szyi miał zawiązane pasemko białej wełnianej przędzy. Dlaczego? Skąd je wydostał? Czy to był jakiś znak szczególny — czy ozdoba — czy amulet — czy akt błagalny? Czy była w ogóle jakaś myśl z tym związana? Ta odrobina białej przędzy zza mórz wyglądała dziwnie niepokojąco na czarnej szyi.

Niedaleko tego samego drzewa jeszcze dwie wiązki kątów ostrych siedziały z podciągniętymi nogami. Jeden z Murzynów oparł brodę o kolana, patrząc w próżnię w przerażający, nieznośny sposób; bratnia jego mara podtrzymywała sobie czoło, jakby owładnięta wielkim znużeniem; inne jeszcze były rozrzucone wokoło, poskręcane we wszelkich możliwych pozach, pełnych wyczerpania, jak na obrazie rzezi lub moru[40]. Gdy stałem, porażony zgrozą, jedna z tych istot zwlokła się na ręce i kolana i popełzła na czworakach w stronę rzeki, aby się napić. Chłeptała wodę z dłoni, potem usiadła na słońcu skrzyżowawszy przed sobą piszczele, a w chwilę później wełnista jej głowa opadła na piersi.

Strój

Miałem już dosyć tego wałęsania się w cieniu i pośpieszyłem ku stacji. W pobliżu zabudowań spotkałem białego, ubranego z tak nieoczekiwaną elegancją, że w pierwszej chwili wziąłem go za coś w rodzaju wizji. Zobaczyłem wysoki, nakrochmalony kołnierzyk, białe mankiety, lekką alpakową kurtkę, śnieżne spodnie, jasny krawat i lakierki. Kapelusza nie miał. Włosy jego były rozdzielone, wyczesane i wypomadowane, a w dużej białej ręce niósł parasol z zieloną podszewką. Był zdumiewający; za jego uchem tkwiło pióro.

Podałem dłoń temu cudu i dowiedziałem się, że to jest główny buchalter[41] spółki i że całą księgowość prowadzi się właśnie na tej stacji. Powiedział, iż wyszedł tylko na chwilę, aby „odetchnąć świeżym powietrzem". To wyrażenie brzmiało bardzo dziwacznie, budząc asocjacje[42] biurowego, siedzącego życia. Nie byłbym wam wcale wspominał o tym urzędniku, ale z jego ust usłyszałem po raz pierwszy nazwisko agenta, który tak nierozerwalnie się łączy z mymi wspomnieniami z tego okresu. A przy tym czułem dla tego faceta szacunek. Tak; czułem szacunek dla jego kołnierzyków, szerokich mankietów, wyczesanej czupryny. Wyglądał niewątpliwie jak lalka od fryzjera, ale wśród wielkiego rozprzężenia w całym kraju dbał o swą powierzchowność. To się nazywa trzymać fason. Jego nakrochmalone kołnierzyki i gorsy od koszul były wynikiem siły charakteru. Bawił

[39] *inferno* (wł.) — piekło. [przypis edytorski]
[40] *mór* — zaraza. [przypis edytorski]
[41] *buchalter* (daw.) — księgowy. [przypis edytorski]
[42] *asocjacja* — skojarzenie. [przypis edytorski]

tu już blisko trzy lata; i nie mogłem się kiedyś powstrzymać od zapytania, skąd wytrzasnął taką bieliznę? Zaczerwienił się leciutko i rzekł skromnie:

— Wyuczyłem jedną z tutejszych kobiet, kręcących się przy stacji. To było trudne. Nie smakowała jej ta robota.

Takim sposobem człowiek ten rzeczywiście czegoś dokazał. A przy tym był szczerze oddany swoim księgom, które utrzymywał we wzorowym porządku.

Poza tym wszystko na stacji było w nieładzie — głowy, rzeczy, budynki. Długie sznury pokrytych kurzem Murzynów o płaskich stopach przybywały i odchodziły; potok wszelakiej manufaktury[43], lichych perkali[44], paciorków i miedzianego drutu odpływał w głąb ciemności, skąd sączyła się w zamian drogocenna kość słoniowa.

Musiałem czekać na stacji przez dziesięć dni — całą wieczność. Mieszkałem w chacie na dziedzińcu, ale żeby się wyrwać czasem z tego chaosu, zawadzałem o biuro buchaltera. Zbudowane było z poziomych desek tak licho dopasowanych, że gdy buchalter pochylał się nad wysokim swoim pulpitem, poprzekreślany był od stóp do głów wąskimi paskami światła. W pokoju było jasno bez otwierania wielkiej okiennicy. Przy tym panował tam upał; wielkie muchy brzęczały szatańsko i nie kłuły, lecz raniły. Siadywałem zwykle na podłodze, podczas gdy buchalter o nieskazitelnej powierzchowności (nieco nawet uperfumowany) sterczał na wysokim stołku i pisał. Czasem wstawał, aby rozprostować kości. Gdy wtaczano łóżko na kółkach z chorym (jakimś agentem, który zasłabł w górnych okolicach rzeki), przejawiał lekkie rozdrażnienie.

— Jęki chorego — mówił — rozpraszają moją uwagę. A bez tego niezmiernie jest trudno ustrzec się błędów w tym klimacie.

Pewnego dnia zauważył, nie podnosząc głowy:

— Tam w głębi kraju spotka się pan z pewnością z Kurtzem[45]. — Gdy zapytałem, kim jest Kurtz, odrzekł, że to jeden z głównych agentów; spostrzegłszy, iż ta informacja rozczarowała mnie, dodał powoli, odkładając pióro: — Bardzo wybitny człowiek. — Dowiedziałem się dalej od niego, że Kurtz jest kierownikiem handlowej stacji, bardzo ważnej stacji, we właściwym kraju kości słoniowej, w samym centrum. Przysyła tyle kości słoniowej, co wszyscy inni razem wzięci...

Zaczął znów pisać. Z chorym było tak źle, że nawet nie jęczał. Muchy bzykały wśród wielkiego spokoju.

Nagle usłyszałem wzrastający gwar i głośny tupot kroków. Przybyła karawana. Gwałtowny bełkot złożony z dziwacznych dźwięków wybuchnął po drugiej stronie desek. Wszyscy tragarze mówili jednocześnie, a wśród tego hałasu rozległ się żałosny głos głównego agenta, który wołał po raz dwudziesty tego dnia, że „ma już tego dosyć"... Wstał powoli z krzesła.

— Cóż to za okropny hałas — powiedział. Przeszedł po cichu przez pokój, aby spojrzeć na chorego, i rzekł do mnie wracając:

— On nie słyszy.

— Jak to, umarł? — spytałem przestraszony.

— Nie, jeszcze nie — odrzekł z wielkim spokojem. Potem dodał kiwnąwszy głową w stronę zgiełku na dziedzińcu: — Kiedy człowiek musi wciągać, jak się należy, pozycje, zaczyna czuć do tych dzikich nienawiść — śmiertelną nienawiść. — Zamyślił się na chwilę. — Jak pan zobaczy Kurtza — ciągnął dalej — niech mu pan powie ode mnie, że wszystko tutaj — spojrzał na pulpit — jest w zupełnym porządku. Nie lubię pisać do niego, z tymi naszymi posłańcami nie wiadomo nigdy, do czyich rąk list może się dostać tam, na tej stacji centralnej[46]. — Patrzył we mnie przez chwilę łagodnymi, wypukłymi oczyma. — O, ten to zajdzie daleko, bardzo daleko — zaczął znów. — Zajmie wkrótce ważne stanowisko w administracji. Postanowili tak ci u góry, rada spółki w Europie, rozumie pan.

Zabrał się znów do pracy. Hałas na zewnątrz ustał; wychodząc z chaty, zatrzymałem się na progu. Wśród spokojnego brzęczenia much agent wracający do kraju leżał czerwony

[43] *manufaktura* — tu: wyroby. [przypis edytorski]

[44] *perkal* — rodzaj cienkiego bawełnianego płótna. [przypis edytorski]

[45] *Kurtz* — wg niektórych interpretatorów nazwisko znaczące; Kurtz (niem.: krótki) miałoby być imieniem diabła z ludowych podań, podobnie jak polskie „Kusy". [przypis edytorski]

[46] *na tej stacji centralnej* — mowa o Leopoldville (obecnie Kinszasa). [przypis edytorski]

i nieczuły na wszystko; drugi zaś, pochylony nad swymi księgami, wciągał poprawnie pozycje różnych idealnie poprawnych transakcji; a pięćdziesiąt stóp poniżej progu chaty widać było nieruchome wierzchołki drzew z gaju śmierci.

Następnego dnia opuściłem nareszcie stację razem z karawaną złożoną z sześćdziesięciu ludzi, wyruszając na dwustumilowy marsz piechotą.

Nie warto rozwodzić się nad tym. Wszędzie ścieżki i ścieżki; wydeptana sieć ścieżek snujących się po pustym kraju przez wysoką trawę, przez spaloną trawę, przez gąszcz, na dół i w górę przez chłodne wąwozy, w górę i na dół po kamienistych pagórkach rozprażonych przez upał; a przy tym samotność, zupełna samotność — nikogo, ani jednej chaty. Ludność wyniosła się stamtąd już dawno. Gdyby tak cała masa tajemniczych Murzynów, uzbrojonych w straszliwy oręż wszelakiego rodzaju, zaczęła nagle podróżować drogą między Deal a Gravesend, łapiąc parobków na prawo i lewo do dźwigania ciężkich juków, wyobrażam sobie, że każdy folwark i każda wieś w tych okolicach opróżniłyby się bardzo szybko. Ale tutaj i zabudowania znikły również. Przechodziłem jednak przez kilka opuszczonych wsi. Jest coś wzruszająco dziecinnego w ruinach ścian z trawy. Dzień po dniu słyszałem za sobą tupot i szelest sześćdziesięciu par bosych nóg, a każda para dźwigała sześćdziesięciofuntowy ciężar. Rozbijanie obozu, gotowanie, sen, zwijanie obozu, marsz. Od czasu do czasu znajdowaliśmy Murzyna spoczywającego w wysokiej trawie blisko ścieżki — tragarza, który padł martwy w uprzęży, a obok niego pustą tykwę[47] na wodę i długi kij. Wielka cisza naokoło nas i w górze. Niekiedy wśród spokojnej nocy drganie dalekich bębnów, to wznoszące się, to opadające drganie rozległe i słabe; dźwięk dziwaczny, pociągający, wymowny i dziki — o znaczeniu może równie głębokim jak dźwięk dzwonów w kraju chrześcijańskim.

Spotkaliśmy raz białego w rozpiętym mundurze, obozującego na ścieżce ze zbrojną eskortą złożoną z wychudłych Zanzibarczyków; bardzo był gościnny i podochocony, żeby nie powiedzieć — pijany. Oświadczył, że pilnuje porządku na drogach. Nie mogę powiedzieć, abym widział jaką drogę lub jakikolwiek porządek, chyba że ciało Murzyna w średnim wieku — z dziurą od kuli w czole — o które dosłownie potknąłem się trzy mile dalej, można uznać za trwałe zaprowadzenie porządku.

Podróżował ze mną także pewien biały, niezły sobie człowiek, ale nieco zbyt otyły; miał przy tym nieznośny zwyczaj: mdlał na rozpalonych zboczach, w odległości całych mil od najmniejszego skrawka cienia i od wody. Przyznacie, że można się czuć rozdrażnionym, kiedy trzeba trzymać własną marynarkę niby parasol nad czyjąś głową, póki ten ktoś nie przyjdzie do siebie. Nie mogłem się raz powstrzymać od zapytania, po co on się tu w ogóle wybrał.

— Żeby zrobić pieniądze, naturalnie, a cóż pan sobie myśli? — odrzekł pogardliwie.

Potem dostał gorączki i trzeba go było nieść w hamaku zawieszonym na tyce. Ponieważ ważył dwieście dwadzieścia cztery funty[48], miałem ciągle awantury z tragarzami. Narowili się, uciekali, wymykali się ze swymi jukami w ciemność — coś zupełnie podobnego do buntu. Tedy pewnego wieczoru wyciąłem do nich po angielsku mowę z gestami, z których ani jeden nie uszedł sześćdziesięciu parom oczu patrzących we mnie, i następnego dnia wyprawiłem hamak jak się patrzy na czele karawany. W godzinę później natknąłem się na ten cały interes porzucony w krzakach — na mego towarzysza, hamak, jęki, kołdry, przerażenie. Ciężka tyka zdarła mu skórę z biednego nosa. Nalegał usilnie, abym kogoś zabił, ale w pobliżu nie było ani śladu tragarza. Przypomniałem sobie starego doktora: „Z punktu widzenia nauki byłoby ciekawe śledzić na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach". Czułem, że staję się interesujący dla nauki. Ale to nie należy do rzeczy.

Piętnastego dnia ujrzałem znów wielką rzekę i dowlokłem się, kulejąc, do stacji centralnej. Znajdowała się nad małą zatoczką, wśród krzewów i lasu; z jednej strony przylegało do niej miłe, woniejące bagno, z trzech pozostałych była otoczona popękanym płotem z sitowia. Zaniedbany otwór w płocie stanowił jedyną bramę i wystarczało rzucić okiem, aby się przekonać, że to rozlazły diabeł tu włada. Biali ludzie z długimi kijami w rękach wysunęli się ospale spośród budynków, przywlekli się, aby na mnie spojrzeć, i znikli z widoku. Jeden z nich, tęgi, porywczy facet o czarnych wąsach, dowiedziawszy

[47] *tykwa* — twarda okrywa owocu rośliny o tej samej nazwie, stosowana jako pojemnik na wodę. [przypis edytorski]

[48] *funt* — brytyjska miara masy, obecnie ok. 0,45 kg. [przypis edytorski]

się, kim jestem, poinformował mnie bardzo potoczyście, odbiegając często od tematu, że parowiec mój znajduje się na dnie rzeki. Spiorunowała mnie ta wiadomość. Co? jak to, dlaczego? O, „wszystko w porządku". „Sam dyrektor" był przy tym. Nie ma podstaw do żadnych zarzutów.

— Wszyscy zachowali się wspaniale, wspaniale! Musi pan pójść i zobaczyć się natychmiast z głównym dyrektorem — ciągnął podniecony. — On czeka na pana!

Nie od razu zrozumiałem właściwe znaczenie tego rozbicia. Mam wrażenie, że już teraz rozumiem, ale pewny nie jestem bynajmniej. Kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że ten wypadek był naprawdę zbyt niedorzeczny, aby mógł być zupełnie naturalny. A jednak... Ale w owej chwili wyglądał po prostu jak jakaś przeklęta przeszkoda. Parowiec zatonął. Przed dwoma dniami wyruszyli w nagłym pośpiechu w górę rzeki z dyrektorem na pokładzie, pod komendą jakiegoś ochotniczego kapitana, i zanim upłynęły trzy godziny, wybili o kamienie dno statku, który zatonął przy południowym brzegu.

Zapytałem siebie, co tu mam właściwie do roboty, teraz, gdy statek mój przepadł. A w rzeczywistości czekała moc pracy przy wyławianiu z rzeki mego dowództwa. Musiałem wziąć się do tego zaraz na drugi dzień. Wydobycie statku, a potem naprawa, gdy już sprowadziłem na stację wszystkie części parowca, trwały kilka miesięcy.

Pierwsza moja rozmowa z dyrektorem była ciekawa. Nie poprosił wcale, abym usiadł, choć przeszedłem tego ranka dwadzieścia mil. Miał pospolitą cerę, pospolite rysy, maniery i głos. Wzrostu był średniego, budowy przeciętnej. Jego oczy, zwykłego niebieskiego koloru, były chyba szczególnie zimne, a spojrzenie — gdy chciał — spadało na człowieka ostre i ciężkie jak topór. Ale nawet i wówczas reszta jego osoby zdawała się temu przeczyć. Tylko na jego ustach błądził jakiś nieokreślony, nikły wyraz — coś ukradkowego — uśmiech, nie uśmiech; pamiętam go, ale nie umiem wytłumaczyć. Ten uśmiech był nieświadomy, choć stawał się wyraźniejszy w chwili, gdy dyrektor kończył coś mówić. Zjawiał się jak pieczęć przyłożona do słów, aby znaczenie najzwyklejszego zdania uczynić zupełnie nieprzeniknionym. Ów dyrektor był to zwykły sobie kupiec pracujący od dzieciństwa w tych okolicach — i nic więcej. Słuchano go, ale nie wzbudzał ani przywiązania, ani trwogi, ani nawet szacunku. Wzbudzał niepokój. Otóż to właśnie! Niepokój. Nie było to wyraźne niedowierzanie — po prostu niepokój, nic więcej. Nie macie pojęcia, jak skuteczna może się stać taka... taka... właściwość. Nie miał zmysłu organizacyjnego ani inicjatywy, ani nawet zamiłowania do ładu. Wychodziło to na jaw w takich rzeczach, jak na przykład opłakany stan stacji. Nie był wykształcony, nie był inteligentny. Dlaczego dostał się na to stanowisko? Może dlatego, że nigdy nie chorował... Przesłużył w tamtych okolicach trzy okresy po trzy lata... Dlatego, że świetne zdrowie wśród ogólnego pogromu organizmów jest już samo przez się rodzajem potęgi. Gdy udawał się do kraju na urlop, hulał wystawnie — na wielką skalę. Niby marynarz na urlopie — z pewną jednak różnicą — czysto zewnętrzną. Można było się tego domyślić z jego przygodnych opowiadań. Nie potrafił nic stworzyć, umiał tylko korzystać z rutyny — i to wszystko. Ale był wielki. Był wielki dzięki drobnej rzeczy polegającej na tym, że niepodobna było dociec, co może mieć władzę nad takim człowiekiem. Nie zdradził nigdy tej tajemnicy. A może nie tkwiło w nim po prostu nic. Takie podejrzenie trzymało człowieka w szachu — bo zewnętrznej kontroli nie było. Raz, kiedy przeróżne tropikalne choroby położyły prawie wszystkich „agentów" na stacji, usłyszano, jak dyrektor mówił:

Zdrowie

— Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, nie powinni mieć wnętrzności.

Przypieczętował właściwym sobie uśmiechem tę enuncjację[49], jakby to były drzwi otwierające się na ciemność, przy których pełnił funkcję odźwiernego. Zdawało się człowiekowi, że coś ujrzał — ale leżała na tym pieczęć. Gdy mu dokuczyły ustawiczne kłótnie białych o pierwszeństwo przy stole, kazał zrobić olbrzymi okrągły stół, dla którego trzeba było zbudować oddzielny dom. Była to jadalnia stacji. Tam gdzie siedział dyrektor, znajdowało się pierwsze miejsce — reszta się nie liczyła. Czuło się, że to niezłomne jego przekonanie. Nie był ani uprzejmy, ani nieuprzejmy. Był spokojny. Pozwalał, aby jego „*boy*[50]" — spasiony młody Murzyn z wybrzeża — traktował białych w jego obecności z wyzywającą zuchwałością.

[49] *enuncjacja* — deklaracja. [przypis edytorski]

[50] *boy* — tu: służący (dosł. ang.: chłopiec). [przypis edytorski]

Zobaczywszy mnie dyrektor zaczął natychmiast mówić. Moja podróż przeciągnęła się bardzo długo. Nie mógł już czekać. Musiał wyruszyć beze mnie. Trzeba było zluzować ludzi na stacjach położonych wyżej nad rzeką. Tak długo się już zwlekało, że nie wiadomo, kto umarł, a kto żyje, jak tam sobie radzą — i tak dalej, i tak dalej. Nie zwracał uwagi na moje wyjaśnienia i bawiąc się laską wosku powtórzył kilka razy, że sytuacja jest „bardzo, bardzo groźna". Rozeszły się pogłoski, iż bardzo ważna stacja znajduje się w niebezpieczeństwie, a jej kierownik, Kurtz, leży chory. Dyrektor ma nadzieję, że to nieprawda. Kurtz jest... Czułem się zmęczony i zirytowany. Do diabła z tym Kurtzem! Przerwałem oświadczając, że słyszałem już o tym Kurtzu na wybrzeżu.

— Ach tak! więc mówią tam o nim — szepnął sam do siebie. — Po chwili milczenia ciągnął znów dalej, zapewniając mnie, że Kurtz jest najlepszym jego agentem, że jest to człowiek wyjątkowy, na którym towarzystwu jak najbardziej zależy; toteż rozumiem chyba jego niepokój — dyrektora. Jest bardzo, ale to bardzo niespokojny. I rzeczywiście wiercił się wciąż na krześle, wykrzykując:

— Ach, ten Kurtz! — aż wreszcie laska wosku złamała mu się w rękach, co wprawiło go jakby w osłupienie.

Następnie zażądał ode mnie informacji, „ile czasu potrzeba, ażeby..." Przerwałem mu znowu. Widzicie, byłem głodny, a że w dodatku nie proszono mnie, bym usiadł, więc zaczynałem się wściekać.

— Skądże mam wiedzieć? — odrzekłem. — Jeszcze nawet nie widziałem tego statku. Zapewne kilka miesięcy. — Cała ta gadanina wydawała mi się zupełnie jałowa.

— Kilka miesięcy — powtórzył. — No dobrze, powiedzmy trzy miesiące, zanim będziemy mogli wyruszyć. Tak. To powinno wystarczyć.

Wypadłem z jego chaty (mieszkał sam jeden w glinianej lepiance, przy której było coś w rodzaju werandy), mrucząc pod nosem, co o nim myślę. Gadatliwy idiota! Potem zmieniłem zdanie, uprzytomniwszy sobie z lękiem, jak dokładnie ocenił czas potrzebny na tę „historię".

Następnego dnia wziąłem się do pracy, odwrócony, że tak powiem, tyłem do stacji. Wydało mi się, że jedynie w ten sposób pozostanę w kontakcie ze zbawiennymi faktami życia. Jednak trzeba było się czasem rozejrzeć i wówczas widziałem tę stację, tych ludzi wałęsających się bez celu po dziedzińcu w blasku słońca. Zapytywałem siebie niekiedy, co to wszystko ma znaczyć. Wędrowali tu i tam ze swymi idiotycznymi, długimi kijami w ręku jak banda niewiernych pielgrzymów, zaczarowanych w obrębie zbutwiałego płotu. Słowo „kość słoniowa" rozlegało się w powietrzu, rozchodziło się szeptem, ulatywało jak westchnienie. Można było pomyśleć, że się do niego modlą. Zaraza głupiej chciwości przenikała to wszystko jak trupi zapach. Słowo daję, nie widziałem jeszcze nigdy w życiu czegoś równie nierealnego. A głucha dzicz otaczająca tę polankę uderzyła mnie jak jakaś niezwyciężona wielkość — zło czy prawda — czekająca cierpliwie na zniknięcie bezsensownej inwazji.

Chciwość

Och, te miesiące! No, mniejsza z tym. Wydarzyły się w tym czasie różne rzeczy. Pewnego wieczoru szopa z trawy, pełna kretonu[51], perkali, paciorków i nie wiem już czego, buchnęła płomieniem tak nagle, iż można było pomyśleć, że ziemia się rozstąpiła, aby pozwolić mściwemu ogniowi pochłonąć wszystkie te śmiecie. Paliłem spokojnie fajkę obok mego ogołoconego parowca i patrzyłem na nich wszystkich, jak fikali w świetle ognia z podniesionymi wysoko ramionami; wtem nadbiegł ów tęgi człowiek o czarnych wąsach, pędząc ku rzece z blaszanym wiadrem w ręku; zapewnił mnie, że „wszyscy się zachowują wspaniale, wspaniale", nabrał mniej więcej kwartę wody i popędził z powrotem. Spostrzegłem, że dno jego wiadra jest dziurawe.

Pożar

Poszedłem z wolna ku szopie. Pośpiech był zbyteczny. Uważacie, zajęło się to jak pudełko zapałek. Rzecz była przesądzona od samego początku. Płomienie skoczyły wysoko, odepchnęły wszystkich, oświetliły wszystko — i zapadły się. Szopa była już kupą rozżarzonych węgli. Niedaleko chłostano Murzyna. Powiedzieli mi, że to on wywołał ogień w jakiś tam sposób; tak czy owak, wrzeszczał najokropniej. Widywałem go później przez kilka dni siedzącego w skrawku cienia; wyglądał na bardzo chorego i usiłował się wylizać; wreszcie wstał i odszedł — a dzicz przyjęła go bezgłośnie z powrotem na swoje łono.

[51] *kreton* — cienka bawełniana tkanina. [przypis edytorski]

Gdy wyszedłszy z ciemności podszedłem do żarzących się zgliszcz, znalazłem się za plecami dwóch ludzi, którzy z sobą rozmawiali. Usłyszałem nazwisko Kurtza, a potem słowa: „... wyciągnął korzyść z tego nieszczęśliwego wypadku." Jednym z tych ludzi był dyrektor. Powiedziałem mu „dobry wieczór".

— No, widział pan kiedy coś podobnego? To nie do wiary — rzekł i odszedł.

Drugi pozostał. Był to jeden z głównych agentów, człowiek młody, elegancki, o obejściu dość powściągliwym; miał małą, rozwidloną bródkę i haczykowaty nos. Traktował z wysoka innych agentów, którzy ze swej strony twierdzili, że odgrywa rolę szpiega przy dyrektorze. Co do mnie, nigdy prawie przedtem z nim nie mówiłem. Rozgadaliśmy się i po pewnym czasie odeszliśmy z wolna od syczących zgliszcz. Zaprosił mnie do swego pokoju, który znajdował się w głównym stacyjnym budynku. Gdy potarł zapałkę, spostrzegłem, że ten młody arystokrata posiada nie tylko neseser[52] ze srebrnymi przyborami toaletowymi, ale i całą świecę. W owym czasie panowało przekonanie, że tylko dyrektor ma prawo do świec. Gliniane ściany były pokryte krajowymi matami; zbiór dzid, włóczni, tarcz i noży wisiał jak trofea. Owemu agentowi powierzono wyrób cegieł — przynajmniej tak mnie poinformowano; ale na całej stacji nie było ani kawałeczka cegły, a on siedział tu już przeszło rok — i czekał. Podobno do fabrykacji cegieł brakowało mu czegoś — nie wiem dobrze czego, może słomy. W każdym razie nie można było tam tego dostać, a ponieważ nie było prawdopodobne, że przyślą to z Europy, nie rozumiałem dobrze, na co ten człowiek właściwie czeka. Może na jakiś specjalny akt stworzenia. A jednak oni wszyscy na coś czekali — ci pielgrzymi w liczbie szesnastu czy dwudziestu; i dalibóg, nie wyglądało to wcale na nieprzyjemne zajęcie, sądząc ze sposobu, w jaki to znosili — choć spotykała ich tylko choroba, o ile mogłem osądzić. Skracali sobie czas, obmawiając się nawzajem i knując przeciw sobie intrygi w głupi sposób. Wyglądało na to, że wszyscy spiskują, ale nic z tego naturalnie nie wynikało. To spiskowanie było równie nierealne jak wszystko — jak filantropijne pozory całego przedsiębiorstwa, jak gadanina tych ludzi, jak ich zarząd, jak udawanie, że się pracuje. Jedynym ich szczerym uczuciem było pragnienie, aby się dostać na handlową placówkę, gdzie by można dobrać się do kości słoniowej i zarabiać na prowizjach. Intrygowali i spotwarzali się, i nienawidzili wzajemnie tylko z tego powodu, ale w gruncie rzeczy nie umieli skutecznie nawet kiwnąć palcem. Dalibóg, coś w tym jest jednak, że jednemu świat pozwala ukraść konia, a drugiemu nie wolno nawet spojrzeć na postronek. Weźmie taki i ukradnie konia. Bardzo pięknie. Zrobił to. Może umie jeździć konno. Ale jest pewien rodzaj przyglądania się postronkowi, który i najlitościwszego ze świętych doprowadziłby do kopnięcia.

Chciwość

Nie miałem wyobrażenia, dlaczego ów agent wysila się na rozmowę, ale gdyśmy tak gawędzili, przyszło mi nagle na myśl, że chce coś ze mnie wyciągnąć — że po prostu bierze mnie na spytki. Napomykał ciągle o Europie, o ludziach, których znajomość mi przypisywał — zadawał mi chytre pytania co do mych stosunków w „grobowym mieście" i tak dalej. Jego małe oczka połyskiwały ciekawością jak dwa kółeczka z miki[53] — choć usiłował się zachowywać dość wyniośle. Z początku tylko mnie to dziwiło, ale wkrótce ogarnęła mnie szalona ciekawość, jakie wiadomości ze mnie wyciągnie. Nie mogłem zrozumieć, co we mnie jest takiego, że ten człowiek zadaje sobie tyle trudu. Bardzo było zabawnie patrzeć, jak on sam się bierze na kawał, gdyż w rzeczywistości nic we mnie nie było prócz dreszczów, a w głowie miałem jedynie ten nieszczęsny parowiec. Agent brał mnie najwidoczniej za bezwstydnego krętacza. W końcu zirytował się i udał, że ziewa, aby ukryć odruch wściekłego rozdrażnienia. Wstałem z miejsca. Zauważyłem mały szkic olejny na drzewie, przedstawiający kobietę w udrapowanej szacie, z zawiązanymi oczyma, niosącą zapaloną pochodnię. Tło było ciemne — prawie czarne. Ruch kobiety był majestatyczny, a blask pochodni oświetlał ponuro jej twarz.

Zatrzymał mnie ten obrazek, a agent stał uprzejmie koło mnie, trzymając półlitrową butelkę od szampana (środek leczniczy) z wetkniętą w szyjkę świecą. Na moje zapytanie odpowiedział, że namalował to Kurtz — na tej samej stacji, przeszło rok temu — czekając sposobności, aby się udać na swoją handlową placówkę.

— Niechże mi pan powie — zapytałem — kto to jest ten Kurtz?

[52] *neseser* — rodzaj walizki. [przypis edytorski]

[53] *mika* — błyszczący minerał, niekiedy mylony ze złotem. [przypis edytorski]

— Kierownik stacji w głębi kraju — odrzekł zwięźle, odwracając oczy.

— Bardzo panu dziękuję — odpowiedziałem ze śmiechem. — A pan jest fabrykantem cegły na stacji centralnej. Każdy to wie.

Milczał przez chwilę.

— To nadzwyczajny człowiek — rzekł w końcu. — On jest wysłańcem miłosierdzia i nauki, i postępu, i diabli wiedzą, czego tam jeszcze. Dla prowadzenia sprawy, że się tak wyrażę, powierzonej nam przez Europę — zaczął nagle deklamować — potrzebujemy wyższej inteligencji, wszechogarniającego współczucia, zupełnego oddania się celowi.

— Któż to mówi? — zapytałem.

— Całe mnóstwo ludzi — odpowiedział. — Niektórzy z nich nawet to piszą; i właśnie dlatego on tu przybył, ta szczególnie uzdolniona jednostka — o czym powinien pan wiedzieć.

— Dlaczego powinienem wiedzieć? — przerwałem, szczerze zdziwiony.

Nie zwrócił na to uwagi.

— Tak, dzisiaj jest kierownikiem najlepszej stacji, na przyszły rok będzie zastępcą dyrektora, jeszcze parę lat i... ale sądzę, że pan wie, czym on będzie za jakie dwa lata. Pan należy do tej nowej paczki wyznającej cnotę. Ci sami ludzie, którzy go tu umyślnie przysłali, polecili także i pana. O, niech pan nie zaprzecza. Nie myli mnie świadectwo własnych oczu.

Błysnęło mi nagle światło. Wpływowe znajomości mojej kochanej ciotki wywarły nieoczekiwane wrażenie na tym młodzieńcu. O mało co nie parsknąłem śmiechem.

— Czy pan czytuje poufną korespondencję towarzystwa? — zapytałem.

Nie potrafił mi odpowiedzieć ani słowem. Bawiłem się cudownie.

— Gdy Kurtz zostanie głównym dyrektorem — ciągnąłem surowo — nie będzie pan miał do tego sposobności.

Zdmuchnął nagle świecę i wyszliśmy na dwór. Wstał księżyc. Czarne postacie wałęsały się wkoło niedbale, lejąc wodę na rozżarzone węgle, od których rozchodził się syk; para wznosiła się w księżycowym blasku; zbity Murzyn gdzieś jęczał.

— Co za hałas wyprawia to bydlę! — rzekł niezmordowany człowiek z wąsami, ukazując się koło nas. — Dobrze mu tak. Przestępstwo — kara — łupu cupu! Bez litości, bez litości. To jedyny sposób. Na przyszłość położy to kres wszystkim pożarom. Mówiłem właśnie dyrektorowi... — Zauważył mego towarzysza, co natychmiast zbiło go z tropu. — Pan jeszcze nie w łóżku? — rzekł z pewnego rodzaju służalczą serdecznością — to takie naturalne. Ha! Niebezpieczeństwo, niepokój.

Znikł. Zmierzałem w dalszym ciągu ku rzece, a ten drugi szedł u mną. Usłyszałem koło ucha pogardliwy szept:

— Stado fuszerów — pal ich licho.

Widać było, jak pielgrzymi stoją grupkami i rajcują gestykulując. Niektórzy z nich mieli jeszcze w ręku swe kije. Myślę doprawdy, że brali je z sobą do łóżka. Za płotem stał las, widmowy w blasku księżyca, a skroś[54] mętny ruch, skroś słabe odgłosy tego nędznego dziedzińca, cisza kraju przenikała do duszy — jego tajemnica, jego wielkość, zdumiewająca rzeczywistość jego ukrytego życia. Obolały Murzyn pojękiwał słabo gdzieś w pobliżu i nagle westchnął głęboko; przyśpieszyłem kroku, aby się czym prędzej oddalić. Poczułem, że czyjaś ręka wsuwa mi się pod ramię.

— Drogi panie — rzekł agent — nie chcę być źle zrozumiany, szczególnie przez pana, bo pan zobaczy się z Kurtzem na długo przedtem, nim ja będę miał tę przyjemność. Nie chciałbym, aby Kurtz nabrał fałszywego wyobrażenia o moim usposobieniu.

Pozwoliłem mówić dalej temu Mefistofelesowi[55] z *papier-maché*[56] i zdawało mi się, że gdybym chciał, mógłbym przebić go palcem i nie znalazłbym w środku nic — chyba może trochę sypiącego się brudu. Rozumiecie teraz? Ułożył sobie plan, iż zostanie z czasem zastępcą obecnego dyrektora; wyjaśniło mi się teraz, że przybycie tego Kurtza porządnie im obu krwi napsuło. Mówił z gwałtownym pośpiechem, a ja nie usiłowałem go zatrzymać. Stałem oparty plecami o swój rozbity parowiec, który wyglądał juk trup

[54] *skroś* (daw. a poet.) — przez. [przypis edytorski]

[55] *Mefistofeles* — imię diabła często pojawiające się w literaturze. [przypis edytorski]

[56] *papier-maché* — masa z rozdrobnionego papieru połączonego z klejem lub gipsem, służąca m. in. do wykonywania masek bądź kukieł. [przypis edytorski]

jakiegoś wielkiego rzecznego zwierzęcia, wyciągnięty na pochyły brzeg. Miałem w nozdrzach woń mułu, pierwotnego mułu, daję słowo! a przed oczami wzniosłą ciszę pierwotnego lasu; na czarnej zatoce lśniły świetliste plamy. Księżyc rozpostarł na wszystkim cienką warstwę srebra — na bujnej trawie, na błocie, na murze skłębionej roślinności, sięgającym wyżej od ścian świątyni, na wielkiej rzece; widziałem przez mroczną szparę, jak błyszczała i błyszczała, płynąc bez szmeru rozległym nurtem. Wszystko to było wielkie, wyczekujące, nieme, a ten człowiek paplał o sobie. Zastanawiałem się, czy cisza na obliczu ogromu patrzącego na nas obu oznacza apel czy groźbę. Kimże byliśmy, my dwaj, którzyśmy tu zabłądzili? Czy owładniemy tą niemą rzeczą, czy też ona nami owładnie? Czułem, jak wielka, jak diabelnie wielka jest ta rzecz, która mówić nie umie, a może jest także i głucha. Co w niej jest? Wiedziałem, że wydostaje się stamtąd trochę kości słoniowej, i mówiono mi, iż w głębi kraju jest Kurtz. A mówiono mi o tym Bóg wie ile razy! Ale jakoś to wszystko nie przywodziło mi na myśl żadnego obrazu — tak, jakby mi ktoś powiedział, że tam, w głębi, jest anioł lub diabeł[57]. Wierzyłem temu w taki sam sposób, jakby który z was wierzył, że planeta Mars jest zamieszkana. Znałem raz szkockiego żaglomistrza, który był pewien, był bezwzględnie pewien, że na Marsie są ludzie. Kiedy go zapytywano, jak sobie wyobraża ich wygląd i zachowanie, tracił rezon i mruczał coś o tym, że „chodzą na czworakach". Jeżeli ktoś się chociażby uśmiechnął, żaglomistrz — który miał już sześćdziesiątkę — wyzywał go na rękę. Nie byłbym się zdobył na to, aby się bić za Kurtza, ale posunąłem się prawie do kłamstwa. Wiecie, że nienawidzę, nie cierpię, nie znoszę kłamstwa, nie dlatego, abym był bardziej prawy od reszty ludzi, ale po prostu dlatego, że kłamstwo mnie przeraża. Ma na sobie znamię śmierci, jakąś cechę śmiertelności — która jest właśnie tym, czego nienawidzę i nie cierpię — o czym pragnę zapomnieć. Gdy stykam się z kłamstwem, czuję się fatalnie i robi mi się mdło, zupełnie jakbym wziął do ust coś zgniłego. Przypuszczam, że to kwestia usposobienia. Otóż zbliżyłem się na tyle do kłamstwa, że pozwoliłem, aby ten młody dureń uwierzył we wszystko, co mu się tylko podobało wymyślić na temat moich wpływów w Europie. W mig stałem się takim samym blagierem jak reszta zaczarowanych pielgrzymów. I to po prostu dlatego: zdawało mi się, że moja blaga dopomoże temu Kurtzowi, którego w owym czasie nie mogłem sobie jeszcze wyobrazić, uważacie. Był dla mnie tylko słowem. Nie umiałem sobie wystawić[58] człowieka noszącego to nazwisko, tak jak i wy go sobie wystawić nie możecie. Czy widzicie go? Czy rozumiecie tę całą historię? Czy rozumiecie z tego cośkolwiek? Mam wrażenie, że usiłuję wam opowiedzieć sen — a wysiłek mój jest daremny, ponieważ żadna relacja nie może dać pojęcia o sennych wrażeniach, o tej mieszaninie bezsensu, niespodzianki i oszołomienia wśród dreszczów walki i buntu — o tym poczuciu, że się jest we władzy niewiarygodnego — poczuciu, które stanowi prawdziwą istotę snu...

Cisza

Kłamstwo

Życie snem

Zamilkł na chwilę.

— Nie, to niemożliwe; niepodobna[59] dać komuś żywego pojęcia o jakiejkolwiek epoce swego życia — o tym, co stanowi jej prawdę, jej znaczenie, jej subtelną i przejmującą treść. To niemożliwe. Żyjemy tak, jak śnimy — samotni...

Urwał znów i jakby się zastanowił, a potem dodał:

— Wy, koledzy, możecie z tego oczywiście więcej zrozumieć, niż ja podówczas. Wy rozumiecie mnie, którego znacie...

Nastała ciemność tak gęsta, że my, słuchacze, z trudem mogliśmy się widzieć. Już od dłuższego czasu Marlow, siedzący oddzielnie, był dla nas tylko głosem. Nikt się nie odezwał. Może tamci pozasypiali, ale ja czuwałem. Słuchałem i słuchałem, czatując na zdanie, na słowo, na jakąś nić przewodnią wśród nieokreślonego niepokoju wzbudzonego tym opowiadaniem, które jakby kształtowało się samo — bez ludzkich warg — w ciężkim, nocnym powietrzu nad rzeką.

— ...Tak, pozwoliłem mu ciągnąć dalej — zaczął znów Marlow — i puścić cugle wyobraźni na temat wszystkich potęg, które za mną stoją. Zrobiłem to! A za mną nie było nic. Nic prócz tego nędznego, starego pokiereszowanego parowca, o który się opie-

[57] *diabeł* — po niemiecku nazwisko „Kurtz" oznacza „krótki"; w polskich opowieściach ludowych jako imię diabła pojawia się słowo „Kusy", mające to samo znaczenie. [przypis edytorski]

[58] *wystawić* (daw.) — wyobrazić. [przypis edytorski]

[59] *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

rałem, podczas gdy tamten rozprawiał wymownie, że każdy człowiek pragnie koniecznie się wybić.

— A kiedy człowiek tu przyjedzie, to — przecież pan rozumie — nie po to, aby patrzeć na księżyc. — I ciągnął dalej, że Kurtz jest istotnie „geniuszem uniwersalnym", lecz nawet geniuszowi łatwiej pracować przy pomocy odpowiednich narzędzi — ludzi inteligentnych. Cegieł wyrabiać nie można — zachodzi tu przeszkoda czysto fizyczna, jak to wiem dobrze; a jeśli on pełni przy dyrektorze funkcję sekretarza, to dlatego że żaden rozsądny człowiek nie odrzuca lekkomyślnie zaufania swych zwierzchników. Czy to pojmuję? I owszem. A o co mi jeszcze chodzi? Chodzi mi właściwie o nity, na Boga! O nity. Żeby robota posunęła się naprzód, żeby raz skończyć z tą dziurą. Potrzeba mi nitów. Tam u wybrzeża są pełne ich skrzynie — leżą stosami — pęknięte — rozwalone! Co dwa kroki podrzuca się nogą rozsypane nity — na tym dziedzińcu stacyjnym na zboczu. Nity potoczyły się aż do gaju śmierci. Można sobie zapełnić kieszenie nitami schyliwszy się tylko po prostu — a tu, gdzie są potrzebne, nie ma ani jednego. Mamy odpowiednie płyty, ale ani jednego nitu, aby je przymocować. A tymczasem co tydzień posłaniec, samotny Murzyn z torbą od listów na ramieniu i kijem w ręce, wyruszał z naszej stacji na wybrzeże. I kilka razy na tydzień karawana z wybrzeża przybywała z towarami — okropnym, połyskliwym kretonem, na którego sam widok człowiek się wzdrygał, szklanymi paciorkami mniej więcej po pensie kwarta i zakazanymi chustkami z perkalu w deseń. Ale nitów ani śladu. Trzej tragarze byliby mogli przynieść wszystko, czego potrzebowałem do spuszczenia statku na wodę.

Mówił do mnie coraz poufniej, ale zdaje się, że moja obojętna postawa wreszcie go rozjątrzyła, bo uznał za stosowne mnie poinformować, że nie lęka się ani Boga, ani diabła, nie mówiąc już o zwykłym człowieku. Odrzekłem, że to widać od razu, ale że potrzebuję pewnej ilości nitów i że nity są właśnie tym, czego by Kurtz potrzebował, gdyby tylko wiedział, jak rzeczy stoją. Przecież listy odchodzą co tydzień na wybrzeże...

— Panie kochany — wykrzyknął — ja piszę, co mi dyktują!

Domagałem się nitów w dalszym ciągu. Musi być na to jakiś sposób — dla inteligentnego człowieka. Agent zmienił swój sposób bycia; stał się bardzo zimny i nagle zaczął mówić o jakimś hipopotamie; dopytywał się, czy nic mi nie przeszkadza spać na parowcu (tkwiłem dzień i noc na wyratowanym statku). Jest w tamtej okolicy stary hipopotam, który ma brzydki zwyczaj wyłażenia na brzeg i błądzenia nocą po gruntach stacji. Pielgrzymi wyruszają tłumnie i palą do niego ze wszystkich strzelb, jakie tylko mają pod ręką. Niektórzy nawet czatują na niego całymi nocami. Ale wszystkie wysiłki spełzły na niczym.

— To zwierzę ma jakiś czar przeciw śmierci — rzekł — ale to można powiedzieć tylko o bydlętach w tym kraju. Żaden człowiek — czy pan mnie rozumie? — żaden człowiek tutaj nie ma czaru przeciw śmierci. Śmierć

Stał tam przez chwilę w świetle księżyca ze swym cienkim, haczykowatym nosem trochę krzywo osadzonym i oczami z miki błyszczącymi bez ruchu, wreszcie powiedział mi krótko: „dobranoc" i odszedł wielkimi krokami. Widziałem, że jest zaniepokojony, że nie wie, co ma myśleć, i dzięki temu po raz pierwszy od wielu dni poczułem przypływ nadziei. Rozstawszy się z tym facetem wróciłem z wielką ulgą do mego wpływowego przyjaciela, którym był pogruchotany, pogięty, zrujnowany, tandetny parowiec. Wspiąłem się na pokład. Statek zadźwięczał pod mymi nogami, jakbym kopnął nad rynsztokiem pustą blaszaną skrzynkę po sucharach firmy Huntley & Palmer; wykonanie jego było znacznie mniej solidne, kształt chyba brzydszy, ale włożyłem weń tyle ciężkiej pracy, że go pokochałem. Żaden wpływowy przyjaciel nie byłby mi się tak dobrze przysłużył. Ten statek dał mi sposobność do wypróbowania siebie — do przekonania się, czego mogę dokonać. Nie, ja pracować nie lubię. Wolę próżnować i myśleć o wszystkich pięknych rzeczach, które można by zrobić. Nie lubię pracy — żaden człowiek jej nie lubi — ale lubię to, co jest w pracy — sposobność do odnalezienia siebie samego, swej własnej rzeczywistości — dla siebie, nie dla innych — której inni ludzie poznać nie mogą. Widzą tylko pozory i nigdy nie są w stanie powiedzieć, co one naprawdę znaczą. Praca

Nie zdziwiłem się spostrzegłszy, że ktoś siedzi na rufie, na pokładzie, dyndając nogami nad błotem. Trzeba wam wiedzieć, że łączyły mnie dość zażyłe stosunki z nielicznymi mechanikami ze stacji, którymi reszta pielgrzymów naturalnie gardziła — przypuszczam,

że ze względu na ich nieświetne maniery. Otóż ten, o którym mówię — kotlarz z zawodu — był ich majstrem i dobrym pracownikiem. Był to szczupły, kościsty człowiek o żółtej cerze i wielkich, zapatrzonych oczach. Miał wygląd skłopotany, a głowę łysą jak dłoń; jego włosy, wypadając, jakby się uczepiły policzków i widać czuły się dobrze na tym nowym miejscu, gdyż broda zwisała mu do pasa. Był wdowcem z sześciorgiem drobnych dzieci (zostawił je pod opieką siostry, by móc tu przyjechać), a namiętność jego życia stanowiły wyścigi gołębi. Był ich miłośnikiem i znawcą. Mówił o gołębiach z uniesieniem. Po skończonej pracy przychodził do mnie czasem na rozmowę o swych dzieciach i gołębiach; przy robocie, gdy musiał niekiedy czołgać się w szlamie pod dnem parowca, obwiązywał sobie brodę czymś w rodzaju białej serwety, którą przynosił w tym celu. Owa serweta miała duże pętle do zakładania na uszy. Wieczorem widać go było przykucniętego na brzegu, jak płukał w zatoce ten pokrowiec z wielką starannością, a potem rozpościerał uroczyście na krzaku, aby go wysuszyć.

Trzepnąłem mechanika w plecy, wołając:

— Dostaniemy nity! — Wygramolił się na nogi i krzyknął:

— Nie, doprawdy! Nity? — Jakby nie chciał wierzyć własnym uszom. Potem dodał po cichu:

— To pan... prawda? — Nie wiem, dlaczego zachowywaliśmy się jak wariaci. Przytknąłem palec do nosa, kiwając tajemniczo głową.

— Brawo! — zawołał i strzelił palcami, podniósłszy ramiona i jedną nogę. Spróbowałem zatańczyć dżiga. Wywijaliśmy po żelaznym pokładzie. Straszny tupot rozebrzmiał na statku i obił się o dziewiczy las po drugiej stronie zatoki, wracając na śpiącą stację w grzmiącym łoskocie. Niektórzy z pielgrzymów obudzili się pewnie w swych lepiankach. Ciemna jakaś postać zasłoniła oświetlone drzwi chaty dyrektora, po czym znikła; po sekundzie czy dwóch oświetlone drzwi znikły również. Uspokoiliśmy się, a cisza, odepchnięta naszym tupaniem, przypłynęła znów z głębi kraju. Wielki mur roślinny, bujna, pogmatwana masa pni, gałęzi, liści, kanarów i girland, nieruchomych w świetle księżyca, przypominała jakby rozhukane najście bezgłośnego życia, toczącą się falę roślin, spiętrzoną, czubatą, gotową runąć na zatokę i wymieść każdego z nas, drobnych człowieczków, poza obręb naszego mizernego życia. Fala stała bez ruchu. Z oddali doszedł nas zgłuszony wybuch potężnych plusków i parskań, jakby jaki ichtiozaurus kąpał się w blasku wielkiej rzeki.

Las, Natura

— Ostatecznie — rzekł kotlarz rozsądnym tonem — dlaczego byśmy nie mieli dostać nitów?

I rzeczywiście, dlaczego? Nie widziałem żadnej przeszkody.

— Nadejdą za trzy tygodnie — rzekłem poufnie.

Ale nie nadeszły. Zamiast nitów spadł na nas najazd, kara, dopust boży. A spadał stopniowo — oddziałami — w ciągu najbliższych trzech tygodni; przed każdym oddziałem stąpał osioł, na którym siedział biały w nowym ubraniu i ciemnożółtych trzewikach, kłaniając się z tego wzniesienia na prawo i lewo poruszonym pielgrzymom. Kłótliwa banda markotnych Negrów[60] z obolałymi nogami deptała osłom po piętach; na dziedzińcu porozrzucano mnóstwo namiotów, polowych stołków, blaszanych pudeł, białych skrzynek i brunatnych pak, a atmosfera tajemniczości pogłębiła się jeszcze nad stacyjnym zamętem. Nadeszło pięć takich porcji, wyglądających na oddziały uchodzące bezładnie z łupem po ograbieniu niezliczonych sklepów z odzieżą i żywnością; zdawało się, że wloką za sobą w głuchą dzicz owe łupy z najezdniczej wyprawy, aby się sprawiedliwie podzielić. Była to gmatwanina przedmiotów w gruncie rzeczy niewinnych, którym ludzka głupota nadała pozór łupów.

Owa zacna banda nazwała się wyprawą odkrywczą z eldorado; zdaje się, że jej członkowie zobowiązali się pod przysięgą do zachowania tajemnicy. Ale mowa ich była mową plugawych piratów: zuchwała bez dzielności, chciwa bez odwagi i okrutna bez męstwa; w całej tej paczce niepodobna się było dopatrzeć choćby śladu przezorności czy poważnego celu. Ci ludzie zdawali się nie wiedzieć, iż praca codzienna wymaga tych rzeczy. Pragnieniem ich było wydrzeć skarby z wnętrzności tego kraju, a nie przyświecał im ża-

[60] *Negr* (daw.) — Murzyn. [przypis edytorski]

den cel moralny, jak złodziejom dobierającym się do kasy. Nie wiem, kto ponosił koszta tej szlachetnej wyprawy, ale wuj naszego dyrektora był jej kierownikiem.

Wyglądem przypominał rzeźnika z ubogiej dzielnicy; w jego oczach malowała się senna przebiegłość. Obnosił ostentacyjnie swój tłusty brzuch na krótkich nogach, a przez cały czas pobytu jego bandy na stacji nie odzywał się do nikogo prócz swego siostrzeńca. Można było oglądać tę dwójkę wałęsającą się przez cały dzień, głowy ich stykały się prawie w ustawicznej gawędzie.

Przestałem się już kłopotać o nity. Zdolność człowieka do tego rodzaju manii bardziej jest ograniczona, niżby można było przypuszczać. Powiedziałem sobie: „pal licho!" — i machnąłem ręką. Miałem czasu w bród do rozpamiętywań, a niekiedy myślałem i o Kurtzu. Nie interesował mnie znów tak bardzo. Bynajmniej. Ale miałem ochotę się przekonać, czy ten człowiek, który wyruszył zaopatrzony w pewne moralne zasady, dostanie się w końcu na szczyt i jak tam sobie będzie poczynał.

II

Pewnego wieczoru, gdy leżałem wyciągnięty na pokładzie mego parowca, posłyszałem zbliżające się głosy — a byli to właśnie siostrzeniec i wuj, którzy spacerowali powoli wzdłuż brzegu. Oparłem znów głowę na ramieniu i popadłem już prawie w drzemkę, gdy ktoś powiedział mi prawie do ucha:

— Jestem łagodny jak nowonarodzone dziecię, ale nie lubię, aby mi dyktowano, co mam robić. Jestem dyrektorem, czy nie jestem? Kazano mi go tam posłać. To wprost niesłychane...

Zdałem sobie sprawę, że ci dwaj stoją na wybrzeżu u przodu statku, tuż pod moją głową. Nie poruszyłem się wcale; nie przyszło mi na myśl się ruszyć; chciało mi się spać.

— To przykre, doprawdy — mruknął wuj.

— Prosił zarząd, aby go tam wysłano — odrzekł tamten — bo chciał pokazać, co potrafi; dostałem też odpowiednie polecenie. Niech wuj pomyśli, jakie ten człowiek musi mieć wpływy. Czy to nie straszne?

Uznali to obaj za straszne i rozmawiali dalej, wypowiadając różne dziwaczne uwagi:

— Wodzi wszystkich na pasku... jeden człowiek radę... za nos.

Te kawałki bezsensownych zdań przezwyciężyły moją senność, tak że byłem prawie zupełnie przytomny, gdy wuj powiedział:

— Klimat może usunąć ci z drogi tę przeszkodę. Czy on tam jest sam?

— Tak — odrzekł dyrektor — odesłał swego pomocnika w dół rzeki z krótkim listem do mnie tej treści: „Niech pan wyprawi stąd tego nieboraka i nie kłopocze się przysyłaniem mi innych w tym samym rodzaju. Wolę być sam niż mieć koło siebie kogoś z ludzi, których pan ma pod ręką." To było przeszło rok temu. Czy może sobie wuj wyobrazić podobną bezczelność!

— A od tamtego czasu? — spytał drugi ochrypłym głosem.

— Kość słoniowa — żachnął się siostrzeniec — całe mnóstwo kości słoniowej w najlepszym gatunku, to wprost nieznośne... wszystko od niego.

— A z kością słoniową? — dopytywał się gruby, dudniący głos.

— Faktury! — wypalił siostrzeniec w odpowiedzi. Zapadło milczenie. Mówili o Kurtzu.

Byłem już wtedy zupełnie rozbudzony, ale leżałem sobie wygodnie bez ruchu, nie mając powodu do zmiany pozycji.

— Jakże ta kość słoniowa przejechała taki kawał drogi? — burknął starszy, widać mocno zirytowany.

Tamten wyjaśnił, że przywiozła ją flotylla łódek pod wodzą angielskiego urzędnika, Mulata, którego Kurtz miał z sobą; że Kurtz zamierzał widocznie sam przyjechać, ponieważ jego stacja była już wówczas ogołocona z towarów i zapasów, ale po przebyciu trzystu mil postanowił nagle wrócić i wyruszył z powrotem sam jeden w niewielkiej łódce z czterema wioślarzami, zostawiając kość słoniową pod opieką Mulata, który pojechał dalej w dół rzeki. Obaj faceci na brzegu wydawali się zdumieni, że ktoś mógł się ważyć na coś podobnego. Nie mogli odgadnąć, dlaczego Kurtz tak postąpił. Co do mnie, wydało mi się, że widzę go po raz pierwszy. Obraz był wyraźny: łódka, czterech dzikich

wioślarzy i samotny biały, który odwraca się nagle od głównej kwatery, od wypoczynku, a może i od myśli o domu; który zdąża ku głębiom dziczy, ku swej pustej i opuszczonej stacji. Nie wiedziałem, dlaczego to zrobił. Może był to po prostu dzielny człowiek, który miał zamiłowanie do swej pracy. Oczywiście jego nazwisko nie zostało wymienione ani razu. Mówili o nim po prostu jako o „tym człowieku". Mulata, który — o ile mogłem wyrozumieć — poprowadził ciężką wyprawę z wielką roztropnością i odwagą, nazywali stale „łajdakiem". „Łajdak" doniósł, że „ten człowiek" przeszedł bardzo ciężką chorobę i nie miał się jeszcze zupełnie dobrze... Tu oddalili się obaj o kilka kroków i spacerowali z wolna tam i z powrotem w niewielkiej odległości. Posłyszałem oderwane wyrazy: — Placówka wojskowa — doktor — dwieście mil — teraz zupełnie sam — nieunikniona zwłoka — dziewięć miesięcy — żadnych wiadomości — dziwaczne pogłoski. — Zbliżyli się znów, właśnie w chwili, gdy dyrektor mówił:

— Nikt, o ile wiem: chyba że taki tam jeden — coś w rodzaju wędrownego kupca — cholerny drab, zmiatający dzikim sprzed nosa kość słoniową.

O kimże teraz mówili? Dorozumiałem się z urywanych zdań, że to jakiś człowiek znajdujący się przypuszczalnie w okręgu Kurtza i że dyrektor go nie uznaje.

— Nie pozbędziemy się nieuczciwej konkurencji, póki się nie powiesi dla przykładu jednego z tych drabów — rzekł.

— Naturalnie — mruknął drugi — powiesić go, i koniec! Czemu nie? Wszystko, wszystko można zrobić w tym kraju. To właśnie chcę powiedzieć; nikt tutaj, rozumiesz, *tutaj*, nie może zachwiać twojego stanowiska. A dlaczego? Bo wytrzymujesz ten klimat, przetrwasz ich wszystkich. Niebezpieczeństwo jest w Europie; ale tam już się postarałem przed wyjazdem, aby...

Oddalili się szepcząc, potem głosy ich podniosły się znowu:

— Te wszystkie nieprzewidziane opóźnienia nie są moją winą. Robiłem, co mogłem.

Grubas westchnął.

— To bardzo smutne.

— A ta jego głupia, obmierzła[61] gadanina — ciągnął drugi — dokuczył mi tu porządnie podczas swego pobytu. Rozpowiadał, że stacja powinna być jakby pochodnią na drodze ku lepszemu jutru, ośrodkiem handlu także, rzecz prosta, ale przy tym i humanitaryzmu, postępu, oświaty. — Czy wuj to pojmuje? — Co za osioł! I ten chce być dyrektorem! Nie, to jest...

Zatknęło go z oburzenia. Podniosłem nieznacznie głowę. Zdumiałem się spostrzegłszy, jak byli blisko — tuż pode mną. Mógłbym plunąć im na kapelusze. Patrzyli w ziemię, pochłonięci myślami. Dyrektor uderzał się po nodze cienką gałązką; jego sprytny krewniak podniósł głowę.

— A czujesz się dobrze od ostatniego przyjazdu? — zapytał.

Tamten drgnął.

— Kto? Ja? Och, jak ryba, jak ryba. Ale reszta, uchowaj Boże! Wszyscy chorzy. A przy tym umierają tak prędko, że nie mam czasu wysłać ich stąd, to nie do wiary.

— Hm. Otóż to właśnie — mruknął wuj. — Ach! mój chłopcze, ufaj temu, powtarzam, ufaj temu.

Ujrzałem, jak wyciągnął swe kuse[62] ramię ruchem, który ogarnął las, błoto, zatokę, rzekę i — wobec słonecznego oblicza kraju — zdawał się przyzywać zdradziecko tym hańbiącym gestem przyczajoną śmierć, ukryte zło, głęboki mrok z wnętrza lądu. Takie to było przerażające, że zerwałem się na równe nogi i obejrzałem na skraj lasu, jakbym czekał na jakąś odpowiedź po tym dowodzie nikczemnego zaufania. Wiecie, jakie głupstwa przychodzą czasem człowiekowi do głowy. Wyniosła cisza przeciwstawiła się tym dwu figurom, cierpliwa i złowieszcza, czekająca na przeminięcie dziwacznej inwazji.

Obaj wykrzyknęli jednocześnie jakieś przekleństwo — przypuszczam, że wprost ze strachu — a potem, udając, że nic nie wiedzą o moim istnieniu, zwrócili się znów ku stacji. Słońce stało nisko; pochyleni jeden obok drugiego, zdawali się ciągnąć z trudem w górę swoje dwa śmieszne cienie różnej długości, które wlokły się z wolna za nimi po wysokiej trawie, nie zginając ani jednego źdźbła.

---

[61] *obmierzły* — wzbudzający obrzydzenie. [przypis edytorski]

[62] *kusy* (daw.) — krótki. [przypis edytorski]

Po kilku dniach wyprawa z eldorado zanurzyła się w cierpliwą puszczę, która zamknęła się za nią, jak morze zamyka się nad nurkiem. W długi czas potem nadeszły wieści, że wszystkie osły im wyzdychały. O losie zwierząt mniej wartościowych nic nie wiem. Nie wątpię, że — tak jak i nas wszystkich — spotkało je to, na co zasłużyły. Nie pytałem. Byłem wówczas nieco podniecony perspektywą rychłego spotkania z Kurtzem. Mówię: rychłego we względnym znaczeniu. Minęły okrągłe dwa miesiące od chwili opuszczenia zatoki, gdy dotarliśmy do brzegu poniżej stacji Kurtza.

Jazda w górę rzeki była jakby podróżą wstecz do najwcześniejszych początków świata, gdy roślinność hulała sobie po ziemi, a królowały wielkie drzewa. Pusta rzeka, wielka cisza, nieprzebyty las. Powietrze ciepłe, gęste, ciężkie, leniwe. Nie było radości we wspaniałym słońcu. Wielkie, opustoszałe przestrzenie wodnego szlaku biegły w mrok zacienionych perspektyw. Na srebrnawych ławicach piasku hipopotamy i aligatory leżały obok siebie, wygrzewając się w słońcu. Rozlane szeroko wody płynęły wśród mnóstwa zadrzewionych wysepek; gubiłem się na tej rzece jak w pustyni i natykałem się cały dzień na mielizny, usiłując wynaleźć przesmyki, aż wreszcie doznałem wrażenia, że mnie ktoś zaczarował i odciął na zawsze od wszystkiego, co znałem ongi — gdzieś tam — daleko — może w jakimś innym istnieniu. Były chwile, kiedy przeszłość do mnie wracała, jak to się dzieje czasami, gdy się nie ma ani chwilki dla siebie; wracała niby niespokojny i hałaśliwy sen, który przypominałem sobie ze zdumieniem wśród przygniatającej rzeczywistości tego dziwnego świata roślin i wody, i ciszy. Ale ta cisza nie miała nic wspólnego ze spokojem. Był to bezruch nieubłaganej siły, rozmyślającej ponuro nad jakimś nieprzeniknionym zamiarem. Owa siła przyglądała się człowiekowi z mściwością. Przyzwyczaiłem się później i już tego nie widziałem; nie miałem na to czasu. Musiałem wciąż odgadywać, gdzie są przesmyki; musiałem rozróżniać, przeważnie pod wpływem natchnienia, oznaki ukrytych ławic; wypatrywałem podwodnych kamieni; uczyłem się zacinać ostro zęby, aby serce nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy na szczęście otarłem się tylko o jakiś piekielny, podstępny stary pień, który byłby wydarł życie z mego tandetnego parowca i zatopił wszystkich pielgrzymów; musiałem czatować na suche drzewa, które by można ściąć w nocy, aby mieć paliwo w ciągu dnia następnego. Kiedy człowiek się troszczy o podobne sprawy, o pospolite wypadki dziejące się na powierzchni, rzeczywistość — właśnie rzeczywistość — się rozwiewa. Wewnętrzna prawda kryje się — na szczęście, na szczęście. Ale czułem ją jednak; czułem często, jak w tajemniczej ciszy przyglądała się moim małpim sztukom, zupełnie tak jak i wam się przygląda, koledzy, gdy pokazujecie swoje sztuki na linie — pół korony za fiknięcie kozła.

Cisza

— Bądźże uprzejmiejszy, Marlow — burknął jakiś głos i stąd się dowiedziałem, że prócz mnie czuwa jeszcze przynajmniej jeden słuchacz.

— Przepraszam. Zapomniałem o bólu serca, który dopełnia ceny. I zaiste, cóż znaczy cena, jeżeli sztuka się uda? Wy pokazujecie sztuki bardzo dobrze. I ja nieźle się wówczas sprawiłem, jeśli zdołałem nie zatopić tego parowca w ciągu pierwszej wyprawy. Dotychczas się temu dziwię. Wyobraźcie sobie człowieka z zawiązanymi oczami, któremu dają ciężki wóz i każą powozić na złej drodze. Zapewniam was, że się pociłem i trząsłem porządnie przy tej robocie. Ostatecznie dla marynarza wydarcie dna ze statku, który ma płynąć cały czas pod jego opieką, jest grzechem nie do darowania. Choćby nawet nikt o tym nie wiedział, niepodobna[63] zapomnieć tego zderzenia, prawda? Cios w samo serce. Pamięta się o nim, śni się o nim — po latach — i robi się człowiekowi zimno i gorąco. Nie chcę przez to powiedzieć, że mój parowiec cały czas pływał. Nieraz musiał brnąć mielizną, popychany przez dwudziestu ludożerców pluskających wokoło. Zaciągnęliśmy po drodze pewną liczbę tych drabów jako załogę. To bycze chłopy — ludożercy — na właściwym miejscu. Z tymi ludźmi można było pracować — jestem im za to wdzięczny. I ostatecznie nie zjadali się nawzajem w mych oczach. Mieli zapas mięsa z hipopotama, które zepsuło się w drodze, wskutek czego tajemnica dziczy zaczęła nam cuchnąć pod nosem. Brr! Do dziś dnia ją czuję. Miałem na statku dyrektora i trzech czy czterech pielgrzymów ze swymi kijami — cały komplet. Czasem napotykaliśmy stację handlową tuż przy brzegu, uczepioną krawędzi nieznanego, a biali ludzie, którzy wypadali z walącej się lepianki, wymachując na powitanie rękoma z radością i zdumieniem, robili wrażenie

[63] *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

bardzo dziwne — jakby czar jakiś trzymał ich tam na uwięzi. Słowo: „kość słoniowa" rozbrzmiewało w powietrzu — i odpływaliśmy znów w ciszę wzdłuż pustych rzecznych obszarów, okrążając spokojne zakręty, między wysokimi ścianami wijącej się drogi, które odbijały głucho ciężki rytm napędowego koła.

Drzewa i drzewa, miliony drzew masywnych, olbrzymich, strzelających w górę; a u ich stóp pełzł przeciw prądowi tuż przy brzegu mały, umorusany sadzą parowiec, jak ociężały chrząszcz łażący po posadzce wyniosłego portyku[64]. Człowiek czuł się bardzo mały i zagubiony, a jednak to uczucie nie było właściwie przygnębiające. Wprawdzie byliśmy mali, ale umorusany chrząszcz pełzł naprzód — czego się właśnie od niego wymagało. Dokąd pełzł w pojęciu pielgrzymów, nie umiem powiedzieć. Założyłbym się, że do jakiegoś miejsca, gdzie się spodziewali coś dostać! Dla mnie pełzł wyłącznie w stronę Kurtza; ale gdy rury zaczęły ciec, posuwaliśmy się bardzo powoli. Droga otwierała się przed nami i zamykała za nami, jakby las wkraczał powoli w wodę, by zagrodzić nam powrót. Przenikaliśmy wciąż głębiej i głębiej w jądro ciemności. Bardzo tam było spokojnie. Czasami nocą warkot bębnów za zasłoną drzew biegł w górę rzeki i trwał w słabym odgłosie do brzasku, jakby się unosił wysoko w powietrzu nad naszymi głowami. Nie wiedzieliśmy, czy oznacza wojnę, pokój czy modlitwę. Przed samym świtem zapadała chłodna cisza; drwale spali, ogniska ich przygasały; człowiek się zrywał na trzask gałązki. Wędrowaliśmy po przedhistorycznej ziemi, po ziemi mającej wygląd nieznanej planety. Mogliśmy sobie wyobrazić, że jesteśmy pierwszymi ludźmi biorącymi w posiadanie jakiś przeklęty spadek, którym można zawładnąć tylko za cenę dojmującej udręki i niezmiernego znoju. I nagle, gdyśmy okrążali z trudem jakiś zakręt, ukazywały się ściany z sitowia, spiczaste dachy z trawy, wybuchał wrzask, kłębił się wir czarnych członków, klaszczących rąk, tupiących nóg, rozkołysanych ciał, oczu przewracających białkami — pod nawisłym listowiem, ciężkim i nieruchomym. Parowiec sunął z trudem, mijając powoli jakiś ponury i niepojęty wybuch szału. Czy przedhistoryczny człowiek nas przeklinał, czy modlił się do nas, czy też nas witał — któż to mógł wiedzieć? Zrozumienie tego, co nas otaczało, było dla nas niemożliwe; przesuwaliśmy się jak widma, rozciekawieni i pełni ukrytego lęku, niby ludzie normalni wobec jakiegoś entuzjastycznego wybuchu w zakładzie dla obłąkanych. Nie mogliśmy tego pojąć, ponieważ odeszliśmy za daleko i nie umieliśmy już sobie przypomnieć; ponieważ wędrowaliśmy przez mroki pierwszych wieków, tamtych wieków, które minęły, nie zostawiając prawie żadnego śladu i żadnych wspomnień.

Kondycja ludzka

Ziemia nie wydawała się ziemska. Przywykliśmy patrzeć na spętany kształt pokonanego potwora, ale tam — tam się oglądało potworny stwór[65] na swobodzie. Ziemia nie była ziemską, a ludzie byli... Nie, ludzie nie byli nieludzcy. Widzicie, otóż to było najgorsze ze wszystkiego — podejrzenie, że oni nie są nieludzcy. Przenikało to z wolna do świadomości. Wyli i skakali, i kręcili się, i wykrzywiali straszliwie; a najbardziej z wszystkiego przejmowała mnie właśnie myśl o ich człowieczeństwie — takim samym jak moje — myśl o mym odległym powinowactwie z tym dzikim, namiętnym wrzaskiem. Brzydactwo. Tak, to było dość brzydkie; ale jeśli człowiek miał w sobie dosyć męstwa, musiał przyznać w duchu, że jest w nim jakiś najniklejszy ślad odzewu na przerażającą szczerość tego zgiełku, jakieś mgliste podejrzenie, iż to ma pewien sens, który by można zrozumieć mimo tak wielkiego oddalenia od mroku pierwszych wieków. I dlaczego by nie? Dusza ludzka jest zdolna do wszystkiego — ponieważ zawiera w sobie wszystko, zarówno przeszłość, jak przyszłość. Cóż tam było właściwie? Radość, przestrach, smutek, ofiarność, męstwo czy wściekłość — któż to mógł powiedzieć? — ale była tam prawda — prawda bez maski czasu. Niech głupiec się gapi i wzdryga — człowiek świadomy życia rozumie i może patrzeć bez zmrużenia powiek. Ale musi być choćby na tyle człowiekiem, co ci z wybrzeża. Musi przeciwstawić ich prawdzie to, co w nim jest istotnie prawdziwe — własną, wrodzoną siłę. Zasady tu nic nie pomogą. To nabytek, strój, ozdobne łachmany — łachmany, które z niego opadną przy pierwszym porządnym wstrząsie. Nie; tu trzeba sobie stworzyć własne swoje *credo*[66]. Czy ten piekielny wrzask znajduje we mnie jakiś oddźwięk? Wsłuchuję się; przyznaję, że tak; ale ja także mam głos i — czy moje zdanie

[64] *portyk* — frontowa część budowli, znajdująca się bezpośrednio przed głównym wejściem. [przypis edytorski]

[65] *tam się oglądało potworny stwór* — dziś popr.: tam się oglądało potwornego stwora. [przypis edytorski]

[66] *credo* (łac.) — wierzę. [przypis edytorski]

jest słuszne, czy nie — słów moich zagłuszyć nie można. Oczywiście, że głupiec — i to zastraszony w dodatku, a przy tym pełen wzniosłych uczuć — będzie zawsze bezpieczny. Któż to tam mruczy? Dziwicie się, że nie wysiadłem na brzeg, aby trochę powyć i potańczyć? Otóż nie — nie wysiadłem. Wzniosłe uczucia, mówicie? Do licha ze wzniosłymi uczuciami! Nie miałem po prostu czasu. Musiałem się babrać z bielą ołowianą i szmatami z wełnianej kołdry, pomagając obwijać te cieknące rury parowe — tak, moi drodzy. Musiałem pilnować steru i wymijać pnie, i za wszelką cenę prowadzić naprzód tandetny grat. W tym wszystkim było dość konkretnej rzeczywistości, aby ocalić i mędrszego ode mnie człowieka. A w wolnych chwilach musiałem doglądać dzikusa, który sprawował obowiązki palacza. Był to okaz udoskonalony; miał palić pod pionowym kotłem. Tkwił w dole pode mną i — słowo daję — jego widok oddziaływał równie budująco jak oglądanie psa w majtkach i kapeluszu z piórem, chodzącego na tylnych łapach. Parę miesięcy tresury dało radę temu istotnie zdolnemu chłopu. Zerkał na manometr i szkło wodowskazowe, siląc się najwidoczniej na odwagę, a przy tym miał nieborak spiłowane zęby, kędzierzawy łeb golony w dziwne desenie i trzy ozdobne blizny na każdym policzku. Powinien był klaskać i tupać na brzegu, a zamiast tego pracował ciężko — niewolnik dziwacznych czarów, pełen coraz doskonalszej wiedzy. Był użyteczny, ponieważ go wyszkolono, a oto, na czym polegała jego wiedza: gdyby woda znikła z tej przezroczystej rzeczy, zły duch wewnątrz kotła wpadłby w gniew z powodu wielkiego pragnienia i zemściłby się straszliwie. Toteż palacz pocił się i podsycał ogień, i śledził szkło z lękiem (ramię miał obwiązane zaimprowizowanym talizmanem z gałganków, w dolnej jego wardze tkwił wygładzony krążek z kości słoniowej wielkości zegarka) — a tymczasem mijaliśmy powoli zarośnięte brzegi, krótki zgiełk ucichał, nastawała znów cisza ciągnąca się przez nieskończone mile — i pełzliśmy naprzód w stronę Kurtza. Ale pnie tkwiły w rzece gęsto, woda była zdradliwa i płytka, kocioł zdawał się doprawdy kryć nadąsanego diabła i dlatego ani palacz, ani ja nie mieliśmy czasu zaglądać do naszych trwożnych myśli.

Diabeł

W odległości pięćdziesięciu mil mniej więcej od stacji Kurtza dotarliśmy do trzcinowej szopy, na której tkwiła melancholijnie pochyła tyka z powiewającym łachmanem, szczątkiem jakiejś flagi niemożliwej do rozpoznania; obok szopy leżał porządnie ułożony stos drzewa opałowego. To było nieoczekiwane; wysiedliśmy na brzeg i znaleźliśmy na stosie płaski kawał deski, a na niej jakiś wyblakły napis ołówkiem. Odcyfrowaliśmy go; napis brzmiał: „Drzewo dla was. Spieszcie się. Podjeżdżajcie ostrożnie." Był tam podpis, ale nieczytelny — nie Kurtz — jakiś znacznie dłuższy wyraz. „Spieszcie się." Dokąd? W górę rzeki? „Zbliżajcie się ostrożnie." Nie zbliżyliśmy się ostrożnie. Ale ostrzeżenie nie mogło dotyczyć miejsca, które mieliśmy znaleźć dopiero po wylądowaniu. Widać tam, w górze rzeki, było coś nie w porządku. Ale co — i jak dalece? O to właśnie chodziło. Wypowiadaliśmy różne sprzeczne uwagi o tym głupim telegraficznym stylu. Gąszcz dokoła nas nic nie mówił ani nie pozwalał się szerzej rozejrzeć. Podarta firanka z czerwonego płótna w desenie wisiała w odrzwiach szopy i trzepotała się markotnie koło naszych twarzy. Mieszkanie było ogołocone ze sprzętów, ale snadź[67] jakiś biały mieszkał tam niezbyt dawno. Pozostał prymitywny stół — deska na dwóch pniakach; kupa śmieci leżała w ciemnym kącie, a koło drzwi podniosłem z ziemi książkę. Nie miała okładki, kartki jej od częstego użytku stały się niezmiernie brudne i miękkie; ale grzbiet zeszyto troskliwie na nowo białą bawełną, która wyglądała jeszcze czysto. Znalezienie tej książki było czymś nadzwyczajnym. Tytuł jej brzmiał: *Badania dotyczące pewnych zagadnień marynarskich* przez jakiegoś Towera, Towsona czy coś w tym rodzaju, kapitana marynarki jego królewskiej mości. Wyglądało to na dość nudną lekturę, ilustrowaną wykresami i odstręczającymi tablicami — a ów egzemplarz pochodził sprzed sześćdziesięciu lat. Oglądałem zdumiewający antyk z jak największą delikatnością, aby mi się nie rozleciał w rękach. Towson czy Towser rozpisywał się z powagą o nadmiernym przeciążeniu okrętowych łańcuchów i takielunku[68] tudzież innych tym podobnych materiałach[69]. Niezbyt porywająca książka; ale na pierwszy rzut oka dostrzegało się w niej szczery zamiar, uczciwą troskę o właściwe ujęcie tematu — i to sprawiało, że nie tylko światło wiedzy biło ze skromnych kartek, które powstały przed tylu laty. Dzięki prostemu staremu marynarzo-

Książka

[67] *snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]
[68] *takielunek* — olinowanie statku. [przypis edytorski]
[69] *materiał* — tu: temat (ang.: matter). [przypis edytorski]

wi i jego opowiadaniu o łańcuchach i dźwigach zapomniałem o dżungli i pielgrzymach w rozkosznym poczuciu, że zetknąłem się z czymś bezsprzecznie realnym. Już znalezienie tam takiej książki było zadziwiające, ale bardziej jeszcze zdumiały mnie notatki skreślone ołówkiem na marginesach, odnoszące się wyraźnie do tekstu. Nie chciałem wierzyć własnym oczom! Były pisane szyfrem! Tak, to wyglądało na szyfr. Wyobraźcie sobie człowieka, który taszczy za sobą w bezludzie książkę tego rodzaju i studiuje ją — i robi notatki — szyfrem w dodatku! Była to cudaczna tajemnica. Już od pewnego czasu dochodził mętnie do mojej świadomości jakiś dokuczliwy hałas; podniósłszy oczy zauważyłem, że stos drzewa znikł, a dyrektor wraz ze wszystkimi pielgrzymami woła na mnie z brzegu. Wsunąłem książkę do kieszeni. Wierzajcie mi, odrywając się od tego czytania miałem wrażenie, że rzucam przystań starej i wypróbowanej przyjaźni.

Wprawiłem w ruch kulawą maszynę.

— Chyba to ten nędzny kupczyk — ten intruz — zawołał dyrektor, oglądając się nieprzyjaźnie na opuszczony przez nas brzeg.

— To pewnie Anglik — odpowiedziałem.

— Nie uratuje go to od kabały[70], jeśli się nie będzie pilnował — mruknął posępnie dyrektor.

Zauważyłem z udaną naiwnością, że nikt nie jest wolny od trosk na tym świecie.

Prąd stał się bardziej wartki, parowiec zdawał się dyszeć ostatkiem sił, napędowe koło opadało leniwie i uprzytomniłem sobie, że czekam z zapartym oddechem na następny ruch statku, gdyż Bogiem a prawdą spodziewałem się, iż nędzny gruchot utknie lada chwila. Było to jakby śledzenie ostatnich przebłysków życia. Ale pełzliśmy nadal. Czasami upatrywałem jakie drzewo przed nami, aby wymiarkować[71], o ile zbliżyliśmy się do Kurtza, ale stale je gubiłem, nim zdążyliśmy się z nim zrównać. Trzymać oczy tak długo na jednym przedmiocie — to było za wiele jak na ludzką cierpliwość. Dyrektor okazywał wspaniałą rezygnację. Ja się złościłem i wściekałem, i wreszcie zacząłem rozważać, czy mam pomówić otwarcie z Kurtzem; ale nim doszedłem do jakiejś konkluzji, przyszło mi na myśl, że i moje gadanie, i milczenie, i w ogóle jakikolwiek mój postępek nie będzie miał żadnego znaczenia. I cóż stąd, że się o czymś wie lub nie wie? Cóż stąd, kto jest dyrektorem? Czasem się miewa taki błysk intuicji. Istota tej sprawy leżała głęboko pod powierzchnią, poza moim zasięgiem; nie mogłem wpłynąć na jej przebieg.

Następnego dnia pod wieczór obliczyliśmy, że się znajdujemy w odległości jakich ośmiu mil od stacji Kurtza. Chciałem jechać dalej, ale dyrektor powiedział mi z poważną miną, że droga tam, w górę, jest tak niebezpieczna, iż byłoby wskazane czekać na miejscu do rana, tym bardziej że słońce stoi już bardzo nisko. Przy tym, jeśli mamy korzystać z przestrogi i zbliżyć się ostrożnie do stacji, musimy to uczynić za dnia, a nie o zmierzchu lub w ciemności. To było wcale[72] rozsądne. Osiem mil oznaczało dla nas prawie trzy godziny jazdy, a w górze na rzece można było dostrzec podejrzane zmarszczki. Mimo to czułem się nad wyraz rozdrażniony tą zwłoką, i to najnierozsądniej w świecie, gdyż po tylu miesiącach jedna noc więcej nie mogła już wiele zaważyć. Ponieważ mieliśmy drzewa pod dostatkiem, a ostrożność była naszym hasłem, zapuściłem kotwicę w środku rzeki. Koryto było wąskie, strome, z wysokimi brzegami, jak przekop kolejowy. Zmierzch wśliznął się doń na długo przed zachodem słońca. Prąd biegł gładko i szybko, ale na obu brzegach panował niemy bezruch. Mogło się zdawać, że żywe drzewa powiązane pnączami i każdy żywy krzew w podszyciu obróciły się w kamień aż do najwątlejszej gałązki, do najlżejszego listka. To nie robiło wrażenia snu — wszystko wyglądało nienaturalnie, jak pogrążone w jakimś transie. Nie słyszało się najlżejszego szmeru. Człowiek patrzył, zdumiony, i zaczynał podejrzewać, że jest głuchy — a potem przychodziła nagle noc i jeszcze oślepiała w dodatku. Około trzeciej nad ranem wyskoczyła na powierzchnię jakaś wielka ryba; wzdrygnąłem się na ten głośny plusk, jakby strzelono z armaty. Gdy słońce wzeszło, pojawiła się biała mgła, bardzo ciepła i lepka, a oślepiająca bardziej niż noc. Nie poruszała się ani nie sunęła; tkwiła po prostu na miejscu, otaczając nas niby coś masywnego. Około ósmej, a może i dziewiątej, podniosła się jak okiennica. Ujrzeliśmy na chwilę spiętrzoną masę drzew, olbrzymią pogmatwaną dżunglę i wiszącą nad nią

[70] *kabała* — tu: problemy. [przypis edytorski]

[71] *wymiarkować* (daw.) — zorientować się. [przypis edytorski]

[72] *wcale* (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

małą kulę słońca — wszystko stężało w bezruchu — po czym biała okiennica zsunęła się gładko na powrót jak na naoliwionych kółkach. Kazałem zluzować znów kotwiczny łańcuch, któryśmy zaczęli już zwijać. Sunął jeszcze z głuchym chrobotem, gdy krzyk, bardzo głośny krzyk — jakby z niezmiernej rozpaczy — wzniósł się powoli w matowe powietrze. Ustał. Żałosna wrzawa, przechodząca w dzikie dysonanse, napełniła z kolei nasze uszy. Było to tak nieoczekiwane, że włosy mi drgnęły pod czapką. Nie wiem, jakie to zrobiło wrażenie na innych; mnie się wydało, że to mgła sama krzyknęła tak nagle i, rzekłbyś, ze wszystkich stron na raz podniósł się ten burzliwy, żałobny zgiełk. Zakończył się gwałtownym wybuchem wrzasku prawie nie do zniesienia, który się raptem urwał, zostawiając nas skamieniałych w przeróżnych głupich pozach; wsłuchiwaliśmy się uparcie w ciszę niemal równie wielką i przerażającą.

— Wielki Boże! Co znaczy ten... — wyjąkał pod moim bokiem jeden z pielgrzymów, mały tłusty człowieczek o ryżawych włosach i rudych bokobrodach; miał wciągane buty na gumach i różową pidżamę, a spodnie wetknięte w skarpetki. Dwaj jego towarzysze trwali przez całą minutę z rozdziawionymi gębami, po czym rzucili się do małej kajuty, wypadli z niej natychmiast i stanęli rozglądając się z przerażeniem i trzymając winczestery[73] w pogotowiu. Mogliśmy dojrzeć jedynie nasz parowiec — o konturach tak zamazanych, jakby się miał za chwilę rozpłynąć — i mglisty pas wody szerokości około dwóch stóp naokoło statku — to było wszystko. Reszta świata nie istniała, jeśli mieliśmy wierzyć oczom i uszom. Po prostu nie istniała. Znikła, przepadła; została zmieciona, nie zostawiając za sobą szmeru ni cienia.

Poszedłem na bok i kazałem wciągnąć łańcuch, aby być gotowym do podniesienia kotwicy i ruszenia z miejsca natychmiast, gdy zajdzie potrzeba.

— Czy nas napadną? — szepnął jakiś głos przejęty grozą.

— Wyrżną tu nas wszystkich w tej mgle — mruknął ktoś inny.

Twarze drgały z natężenia, ręce trzęsły się z lekka, oczy zapominały mrugać. Bardzo był ciekawy kontrast wyrazu twarzy u białych i u Murzynów z naszej załogi, równie obcych jak my w tej części rzeki, choć ich wsie leżały tylko o osiemset mil dalej. Biali, oczywiście bardzo zaniepokojeni, wyglądali przy tym dość szczególnie, jakby wielce ich gorszył ten przeraźliwy wrzask. Tamci zaś mieli wyraz czujny i zaciekawiony, ale twarze ich były zasadniczo spokojne, nawet u jednego czy dwóch, którzy się krzywili, wciągając łańcuch. Kilku zamieniło krótkie, mrukliwe zdania, zdające się rozstrzygać kwestię ku zupełnemu ich zadowoleniu. Prowodyr, młody Murzyn o szerokich piersiach, odziany z surową prostotą w granatowy, fałdzisty strój z frędzlami, stał koło mnie; nozdrza miał srogo rozdęte, a włosy pozwijane misternie w tłuste loczki. Głód

— No? — odezwałem się, ot, tak sobie, po koleżeńsku.

— Złapać ich — wypalił Murzyn i wytrzeszczył nabiegłe krwią oczy błyskając ostrymi zębami — złapać ich. Dać ich nam.

— Jak to, wam? — spytałem — a co byście z nimi zrobili?

— Zjeść ich! — odrzekł zwięźle i oparłszy łokieć o poręcz patrzył we mgłę w pozie pełnej godności, ogarnięty głęboką zadumą. Byłoby mnie to bez wątpienia zgorszyło należycie, gdyby nie przyszło mi na myśl, że i on, i jego ludzie muszą być bardzo głodni; że głód ich zapewne wciąż wzrasta co najmniej już od miesiąca. Zaciągnięto ich na pół roku (nie zdaje mi się, aby którykolwiek z nich zdawał sobie dokładnie sprawę z czasu, nie tak jak my po upływie niezliczonych stuleci; należeli jeszcze do pradawnych wieków, nie odziedziczyli doświadczenia, które by mogło ich niejako pouczyć) — i oczywiście, póki istniał kawałek papieru zapisany zgodnie z jakimś śmiechu wartym prawem, takim czy innym, skleconym w dole rzeki, póty nie przyszło nikomu do głowy troszczyć się, co będą jedli. Wprawdzie zabrali z sobą trochę zepsutego mięsa z hipopotama, ale w żadnym razie nie starczyłoby to na długo, nawet gdyby pielgrzymi nie wyrzucili większej części owego mięsa za burtę wśród straszliwego rwetesu. Postępek ten wyglądał na samowolny, ale w gruncie rzeczy była to tylko godziwa samoobrona. Niepodobna wdychać woni zdechłego hipopotama czuwając, śpiąc i jedząc, a jednocześnie zachować normalny stosunek do życia. Poza tym wydzielano Murzynom co tydzień trzy kawałki miedzianego drutu,

[73] *winczester* — strzelba produkowana przez Winchester Repeating Arms Company, której kolejne wersje cieszyły się popularnością na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

każdy długości około dziewięciu cali; w teorii mieli kupować żywność za tę obiegową monetę po wsiach nadbrzeżnych. Można sobie wyobrazić, jak ten system działał. Albośmy wcale wsi nie napotykali, albo ludność była wroga, albo też dyrektor — który tak jak i my wszyscy żywił się konserwami urozmaiconymi od czasu do czasu jakim starym kozłem — nie chciał zatrzymywać parowca z mniej lub więcej ukrytych powodów. Dlatego też nie wyobrażam sobie, co naszym Murzynom mogło przyjść z ich dziwacznej pensji — chyba że połykali ów drut albo robili z niego haczyki do łapania ryb na wędkę. Muszę zaznaczyć, że wypłacano tę pensję z regularnością godną wielkiej i solidnej spółki handlowej. Poza tym jedyną rzeczą do jedzenia, jaką widziałem u tych Murzynów — choć nie wydawała się bynajmniej jadalna — było kilka kawałków jakby na wpół surowego ciasta brudnej zielonawej barwy; trzymali to zawinięte w liście i niekiedy połykali po kawałeczku, ale takim malutkim, że się miało wrażenie, jak gdyby to robili raczej dla pozoru, nie zaś, by się naprawdę pożywić. Dlaczego, w imię wszystkich szatanów żrącego głodu, nie rzucili się na nas — było ich trzydziestu na pięciu — aby raz się napchać porządnie, to mnie zdumiewa, gdy teraz o tym myślę. Byli to wielcy, tędzy mężczyźni, nie bardzo zdolni do rozważenia następstw takiego postępku, a przy tym odważni i silni — jeszcze silni, choć skóra ich już nie lśniła, a muskuły zwiotczały. I pojąłem, że wchodzi tu w grę jakiś hamulec, jedna z tych ludzkich tajemnic niemożliwych do przeniknięcia. Patrzyłem na nich ze wzrastającym szybko zajęciem, nie wywołanym bynajmniej myślą, że może zjedzą mnie wkrótce — choć przyznam się wam, iż właśnie wtedy spostrzegłem — niejako w nowym oświetleniu — jak niezdrowo wyglądają pielgrzymi, i miałem nadzieję, tak! doprawdy miałem nadzieję, że mój wygląd nie jest taki — jakby to powiedzieć? — taki — nieapetyczny; ten rys fantastycznej próżności harmonizował z poczuciem snu na jawie, przenikającym wówczas wszystkie moje dni. Możliwe, że miałem trochę gorączki. Nie można żyć ciągle z ręką na pulsie. Miewałem często „trochę gorączki", a może i co innego — może to były żartobliwe uderzenia łap dziczy, wstępne igraszki przed groźniejszym napadem, który nastąpił we właściwym czasie. Tak; patrzyłem na tych Murzynów, jak się patrzy na każde ludzkie stworzenie, chcąc poznać jego popędy, motywy, uzdolnienia, słabe strony, poddane próbie nieubłaganej fizycznej konieczności. Hamulec! Jakiż hamulec mógł tam działać? Czy to był przesąd, wstręt, lęk, cierpliwość — czy też coś w rodzaju pierwotnego honoru? Żaden lęk nie ostoi się przed głodem, żadna cierpliwość go nie wytrzyma, wstręt wobec głodu po prostu nie istnieje, a co do przesądów, wierzeń i tak zwanych zasad, znaczą mniej niż plewy na wietrze. Czy znacie piekło przeciągłego głodu, jątrzące jego męczarnie, czarne myśli, ponure okrucieństwo? Otóż ja znam. Zwalczanie uczucia głodu pochłania wszystkie wrodzone siły człowieka. Łatwiej znieść utratę kogoś bliskiego, utratę honoru, potępienia niż tego rodzaju przeciągły głód. Smutne, lecz prawdziwe. A przy tym te chłopy nie miały żadnych absolutnie przyczyn do odczuwania skrupułów. Powściągliwość! Mógłbym się równie dobrze spodziewać powściągliwości od hieny żerującej wśród trupów na pobojowisku. Ale oto był przede mną ów fakt — jaskrawy, oczywisty jak piana na głębiach morza — tajemnica większa, gdy się nad nią zastanawiałem, niż dziwny, niepojęty ton rozpaczliwego żalu dźwięczący w tej dzikiej wrzawie, którą minęliśmy na brzegu, za ślepą bielą mgły.

Głód

Głód

Dwaj pielgrzymi sprzeczali się gorączkowym szeptem, na którym brzegu rozległ się krzyk.

— Na lewym.

— Ależ nie, co pan znów! Na prawym, naturalnie, że na prawym.

— Sytuacja jest bardzo poważna — rzekł za mną głos dyrektora. — Byłbym niepocieszony, gdyby coś miało się stać Kurtzowi, nim dojedziemy.

Spojrzałem na dyrektora i nie miałem najlżejszej wątpliwości, że mówi szczerze. Należał właśnie do tej kategorii ludzi, którym chodzi o zachowanie pozorów. To był jego hamulec. Ale gdy mruknął coś o tym, że trzeba jechać natychmiast, nie zadałem sobie nawet trudu, aby mu odpowiedzieć. Wiedział, tak jak i ja, że to niemożliwe. Gdybyśmy podnieśli kotwicę, znaleźlibyśmy się dosłownie w powietrzu — w przestrzeni. Nie można by wówczas powiedzieć, dokąd jedziemy — w górę, w dół rzeki czy w poprzek, póki byśmy znów nie dosięgli jednego lub drugiego brzegu — a i wtedy byśmy nie wiedzieli z początku, który to brzeg. Oczywiście nie ruszyłem się z miejsca. Nie miałem ochoty roztrzaskać statku. Niepodobna było sobie wyobrazić bardziej niebezpiecznego miejsca

w razie rozbicia. Nawet gdybyśmy nie zatonęli od razu, moglibyśmy być pewni, że zginiemy wnet w taki lub inny sposób.

— Upoważniam pana do podjęcia wszelkiego ryzyka — rzekł dyrektor po krótkim milczeniu.

— A ja nie podejmę żadnego — odrzekłem krótko, co było właśnie odpowiedzią, której oczekiwał, choć mój ton może go zaskoczył.

— Trudno, muszę się zdać na pański sąd. Pan jest kapitanem — rzekł z wyraźną uprzejmością.

Tajemnica, Niebezpieczeństwo

Odwróciłem się do niego tyłem na znak szacunku i patrzyłem na mgłę. Jak długo będzie trwała? Był to widok wprost beznadziejny. Drogę do tego Kurtza — który rył się w ziemi, w pogoni za kością słoniową, wśród tego przeklętego gąszczu — osaczały takie niebezpieczeństwa, jakby był zaczarowaną księżniczką śpiącą w zamku z bajki.

— Czy napadną nas, jak pan myśli? — spytał poufnie dyrektor.

Nie sądziłem, aby nas zaatakowali, dla różnych oczywistych powodów. Jednym z nich była gęsta mgła. Gdyby chcieli odbić od brzegu w czółnach, zagubiliby się we mgle, co by i nas spotkało, gdybyśmy usiłowali ruszyć z miejsca. Ale zdawało mi się także, iż dżungla na obu wybrzeżach jest absolutnie nie do przebycia — tymczasem tkwiły w niej oczy, oczy, które nas dostrzegły. Nadrzeczne zarośla były na pewno bardzo zwarte, jednak przez gąszcz za nimi można się było przedrzeć. Lecz nie dostrzegłem wcale czółen na rzece w czasie krótkotrwałego podniesienia się mgły — a w każdym razie nie widziałem ich obok parowca. Głównym jednak powodem, dla którego atak wydawał mi się niemożliwy, był rodzaj tej wrzawy — tych słyszanych przez nas krzyków. Nie miały charakteru srogiego, zwiastującego bezpośredni wrogi zamiar. Ów zgiełk, choć nieoczekiwany, dziki i gwałtowny, zostawił mi nieodparte wrażenie smutku. Widok parowca przejął z jakiejś przyczyny tych dzikich nieopanowanym bólem. Wykładałem dyrektorowi, że jeśli nam grozi niebezpieczeństwo, to tylko dlatego, że się ocieramy o jakąś wielką, rozpętaną ludzką namiętność. Niezmierna boleść może znaleźć w końcu ujście w gwałcie, ale zwykle przechodzi w apatię...

Trzeba wam było widzieć, jak pielgrzymi wytrzeszczali na mnie oczy! Zbyt byli przygnębieni, aby się skrzywić lub mnie zwymyślać, ale myśleli pewno, żem oszalał — prawdopodobnie ze strachu. Wygłosiłem prawdziwy odczyt. Ale nie warto było się fatygować. A jeśli chodzi o czuwanie nad statkiem, no — chyba sobie wyobrażacie, że czyhałem na podniesienie się mgły jak kot śledzący mysz; cóż, kiedy oczy nie na wiele się mogły przydać, ponieważ byliśmy jak gdyby zagrzebani głęboko w stosie waty. I czuło się tę mgłę jak watę — duszną, ciepłą, dławiącą. Zresztą opinia, którą wypowiedziałem o tych wypadkach — choć na pozór dziwaczna — zgadzała się zupełnie z rzeczywistością. To, o czym mówiliśmy później jako o ataku, było w istocie próbą odparcia nas. Akcja dzikich nie okazała się bynajmniej agresywna ani nawet obronna — w zwykłym tego słowa znaczeniu; została podjęta pod wpływem rozpaczy, a w gruncie rzeczy była na wskroś opiekuńcza.

Rozpoczęła się, powiedzmy, w dwie godziny po podniesieniu się mgły, w miejscu oddalonym mniej więcej o półtorej mili od stacji Kurtza. Wlekliśmy się właśnie po wodzie, usiłując okrążyć zakręt, gdy zobaczyłem wysepkę, taki zwykły, pokryty trawą, jasnozielony kopiec na środku rzeki. Poza tym nic na rzece nie było, ale gdyśmy posunęli się dalej, spostrzegłem, że to początek długiej, piaszczystej mielizny, a raczej łańcucha płytkich rew[74], ciągnących się przez środek koryta. Zanurzone w wodzie, bezbarwne, leżały tuż pod powierzchnią, zupełnie jak kręgosłup człowieka biegnący środkiem pleców pod skórą. Otóż, o ile się dało wymiarkować, mogłem wyminąć tę mieliznę na prawo albo na lewo. Nie znałem, oczywiście, żadnego z obu przesmyków. Brzegi wyglądały mniej więcej jednakowo, głębokość wody również, ale ponieważ uprzedzono mnie, że stacja leży na wybrzeżu zachodnim, skierowałem się naturalnie ku zachodniej cieśninie.

Zaledwieśmy wjechali w nią głębiej, zdałem sobie sprawę, że jest znacznie ciaśniejsza, niż przypuszczałem. Na lewo od nas ciągnęła się długa, nieprzerwana mielizna, a na prawo wysoki, stromy brzeg zarośnięty gęsto krzewami. Nad gąszczem tkwiły drzewa w zwartych rzędach. Gałęzie zwisały gęsto z brzegu, a gdzieniegdzie sterczał sztywno nad rzeką jakiś wielki konar. Nadchodził wieczór, oblicze lasu było posępne; szeroki pas cienia leżał

[74] *rewa* — podwodny wał uformowany z piasku. [przypis edytorski]

już na wodzie. Posuwaliśmy się tym cieniem w górę rzeki — bardzo powoli, jak sobie możecie wyobrazić. Zboczyłem mocno z drogi w stronę brzegu, ponieważ woda tam była najgłębsza, jak wskazywała tyka do sondowania.

Jeden z moich głodnych i powściągliwych towarzyszy sondował, stojąc na baku[75] tuż pode mną. Nasz parowiec był zupełnie podobny do wielkiej łodzi z pokładem. Na pokładzie stały dwa małe domki z tekowego drzewa[76], zaopatrzone w drzwi i okna. Kocioł znajdował się z przodu, a maszyny na rufie. Nad tym wszystkim tkwił lekki dach wsparty na słupkach. Przez ten dach przechodził komin, a przed kominem mała kajuta zbudowana z lekkich desek służyła za domek pilota. Był tam tapczan, dwa składane krzesełka, nabity Martini-Henry stojący w kącie, mały stoliczek i koło sterowe. Z przodu domku były duże drzwi, a w bocznych ścianach okiennice. Wszystko to, oczywiście, stało otworem. Spędzałem tam dni, stercząc na przedniej krawędzi dachu nad drzwiami. W nocy spałem albo starałem się spać na tapczanie. Sterował atletyczny Murzyn należący do jakiegoś plemienia z wybrzeża, wyszkolony przez mego biednego poprzednika. Był zawinięty od pasa do stóp w granatowe płótno, pysznił się mosiężnymi kółkami, które miał w uszach, i wyobrażał sobie, że jest Bóg wie czym. Nigdy nie zdarzyło mi się spotkać równie niepoczytalnego durnia. Póki się przy nim stało, sterował z zawadiacką miną, ale z chwilą, gdy się go traciło z oczu, poddawał się natychmiast panicznemu strachowi i w przeciągu minuty parowiec-kaleka brał górę nad sternikiem.

Walka

Spoglądałem w dół na tykę do sondowania i mocno się niepokoiłem widząc, że za każdym razem coraz bardziej wystaje nad wodą — gdy nagle spostrzegłem, iż sondujący Murzyn zaprzestaje pracy i rozpłaszcza się na pokładzie nie wciągnąwszy nawet swej tyki. Nie puścił jej jednak i wlokła się po wodzie. W tej samej chwili palacz, którego również pod sobą widziałem, siadł raptem przed paleniskiem i schylił głowę. Zdumiało mnie to. Trzeba było natychmiast spojrzeć na rzekę, ponieważ pień sterczał na naszej drodze. Kijki, drobne kijki zaczęły latać naokoło — aż gęsto było od nich w powietrzu; świstały mi przed nosem, padały niżej, uderzały za mną o domek pilota. A przez cały ten czas rzeka, wybrzeże, las, wszystko było bardzo spokojne — absolutnie spokojne. Słyszałem tylko ciężki chlupot napędowego koła i bębnienie tych kijków. Wyminęliśmy niezgrabnie pień. Jak to, przecież to strzały! Strzelają do nas! Wszedłem prędko do domku, aby zamknąć okiennice od strony lądu. Ten bałwan, sternik, trzymając ręce na szprychach, podnosił wysoko kolana, tupał i mlaskał jak koń ściągnięty cuglami. Żeby go licho! A tymczasem kołysaliśmy się o dziesięć stóp od wybrzeża. Musiałem się zupełnie wychylić, aby pociągnąć ciężką okiennicę, i ujrzałem na jednym poziomie z sobą twarz wśród liści, patrzącą na mnie bardzo groźnie i spokojnie; nagle, jakby błona opadła mi z oczu, rozróżniłem w głębi skłębionego, mrocznego gąszczu nagie piersi, ręce, nogi, gorejące oczy — zarośla zaroiły się od ludzkich członków w ruchu, połyskujących, brązowych. Gałęzie trzęsły się, chwiały, szeleściły, strzały sypały się spośród nich i okiennica zamknęła się wreszcie.

— Steruj na wprost — powiedziałem do sternika. Trzymał sztywno głowę zwróconą twarzą ku przodowi, ale przewracał oczami, nogi jego wciąż się z wolna podnosiły i opuszczały, na ustach pokazało się trochę piany.

— Stać spokojnie! — rzekłem z wściekłością.

Tak samo byłbym mógł wydać rozkaz drzewu, aby się nie kołysało na wietrze. Wypadłem z kajuty. Pode mną rozległo się gwałtowne szuranie nogami na żelaznym pokładzie i niewyraźne okrzyki; jakiś głos zawołał:

— Czy pan może zawrócić?

Dostrzegłem przed statkiem na wodzie zmarszczkę w kształcie litery V. Jak to? Znowu pień! Pod moimi nogami wybuchła strzelanina. Pielgrzymi zaczęli walić ze swych winczesterów, tryskając po prostu w gąszcz ołowiem. Piekielna masa dymu podniosła się i sunęła z wolna ku przodowi. Zakląłem. Nie mogłem teraz dojrzeć ani zmarszczki na wodzie, ani pnia. Stałem na progu domku, wpatrując się w wodę, a strzały nadlatywały rojami. Może były zatrute, ale zdawało się, że nie mogłyby zabić nawet i kota. Gąszcz zaczął wyć. Nasi drwale podnieśli wojowniczy wrzask; tuż za mymi plecami rozległ się wystrzał i ogłuszył mnie. Spojrzałem w tył; domek pilota był jeszcze pełen hałasu i dy-

[75] *bak* — górny pokład w dziobowej części statku. [przypis edytorski]

[76] *drzewo tekowe* — gatunek drzewa podzwrotnikowego używanego m. in. do budowy okrętów, ze względu na fakt, iż słabo wchłania wodę. [przypis edytorski]

mu, gdy przypadłem do koła. Ten czarny dureń rzucił wszystko, aby otworzyć okiennicę i strzelić ze stojącego w kącie Martini-Henry. Tkwił przed szerokim otworem i wybałuszył oczy, a ja naprostowywałem nagły skręt statku krzycząc, żeby wrócił do steru. Nie starczyło miejsca na zawrócenie z drogi, nawet gdybym tego chciał; pień sterczał gdzieś bardzo blisko w tym przeklętym dymie, nie było czasu do stracenia, więc skierowałem statek ku brzegowi — wprost ku brzegowi, gdzie, jak wiedziałem, woda była głęboka.

Przedzieraliśmy się z wolna przez zwisające zarośla, wśród wiru połamanych gałęzi i lecących liści. Strzelanina w dole ustała; przewidziałem, że tak będzie, kiedy się lufy opróżnią. Odrzuciłem głowę w tył przed błyszczącym świstem, co przeleciał przez domek wpadłszy przez jeden otwór okienny i wypadłszy przez drugi. Patrząc mimo[77] oszalałego sternika, który potrząsał pustą strzelbą i wrzeszczał w stronę brzegu, dostrzegłem niewyraźne ludzkie postacie; biegły zgięte we dwoje, skakały, sunęły jedna za drugą, widzialne tylko częściowo i znikające niebawem. Coś wielkiego zjawiło się w powietrzu przed okiennicą; strzelba poleciała za burtę, sternik odstąpił szybko w tył, rzucił mi przez ramię nadzwyczajne, głębokie, poufne spojrzenie i padł na moje nogi. Uderzył bokiem głowy dwa razy o koło, a koniec czegoś, co się okazało długim kijem, zaklekotał po ścianach i przewrócił składane krzesełko. Sprawiało to takie wrażenie, jakby Murzyn wyrwał ten kij komuś stojącemu na brzegu i stracił równowagę w tym wysiłku. Rzadki dym rozwiał się, pień został już wyminięty; patrząc naprzód, widziałem, iż o jakie sto jardów[78] dalej będę mógł wykręcić od brzegu, ale było mi tak dziwnie jakoś ciepło i mokro w nogi, że musiałem spojrzeć na podłogę. Murzyn zwalił się na plecy i patrzył w górę wprost na mnie, ściskając oburącz ów kij. Była to rękojeść włóczni — rzuconej czy pchniętej przez otwór — która ugodziła go w bok tuż pod żebrami; ostrze schowało się w ciele, zadawszy okropną ranę; pełno krwi miałem w trzewikach, a całe jej jeziorko stało bardzo spokojnie, połyskując ciemną czerwienią pod kołem steru; oczy rannego świeciły dziwnym blaskiem. Strzelanina wybuchła znów. Murzyn spojrzał na mnie niespokojnie, trzymając włócznię niby coś cennego, jakby się obawiał, że spróbuję mu ją odebrać. Musiałem się zdobyć na oderwanie wzroku od jego spojrzenia i zajęcie się sterem. Wymacałem nad głową linkę od gwizdawki parowej i zacząłem ją szarpać, śląc spiesznie świst za świstem. Zgiełk gniewnych i wojowniczych wrzasków ustał natychmiast, a z głębi lasu podniósł się drżący i przeciągły lament, pełen tak żałosnego strachu i ostatecznej rozpaczy, jakby wszelka nadzieja uleciała z tej ziemi. W gąszczu wszczęło się gwałtowne zamieszanie; deszcz strzał ucichł, kilka wystrzałów rozległo się głośno raz po raz — po czym nastała cisza, w której ociężały rytm koła napędowego dochodził wyraźnie mych uszu. Położyłem ster prawo na burtę w chwili, gdy pielgrzym w różowej pidżamie, bardzo zgrzany i wzburzony, ukazał się we drzwiach.

Śmierć

Krew

Dźwięk

— Dyrektor mnie wysłał — zaczął urzędowym tonem i urwał. — Wielki Boże! — rzekł, wlepiając oczy w rannego.

Staliśmy nad nim, dwaj biali, a świecący i badawczy jego wzrok ogarniał nas obu. Wyglądało to zaiste, jakby chciał natychmiast zadać jakieś pytanie w zrozumiałym dla nas języku; lecz umarł nie wydawszy żadnego dźwięku, nie poruszywszy członkami, nie drgnął mu nawet żaden muskuł. Tylko w ostatniej chwili, jakby w odpowiedzi na jakiś znak, którego nie mogliśmy widzieć, na jakiś szept, którego nie mogliśmy słyszeć, zmarszczył posępnie brwi, a to nadało jego czarnej, śmiertelnej masce niewypowiedzianie ponury, chmurny i groźny wyraz. Połysk badawczego spojrzenia rozpłynął się szybko w martwej szklistości.

— Potrafi pan sterować? — spytałem porywczo agenta.

Miał minę bardzo niepewną, ale gdy go chwyciłem za ramię, zrozumiał od razu, że żądam, aby sterował, czy ma ochotę, czy też nie. Jeśli mam wyznać prawdę, wprost chorobliwie chciało mi się zmienić trzewiki i skarpetki.

— Umarł — mruknął tamten, bardzo przejęty.

— Nie ma co do tego wątpliwości — odrzekłem, szarpiąc sznurowadła jak szalony. — I przypuszczam, że Kurtz także już nie żyje.

[77] *mimo* (daw.) — obok. [przypis edytorski]

[78] *jard* — ang. miara długości, wynosząca 3 stopy, czyli ok. 0,91 metra. [przypis edytorski]

Ta myśl górowała we mnie na razie. Tkwiło w niej niezmierne rozczarowanie, jakbym się przekonał, że dążę do czegoś nieuchwytnego. Nie poczułbym się bardziej zniechęcony, gdybym przebył całą tę drogę, mając wyłącznie na celu rozmowę z Kurtzem. Rozmowę z... Cisnąłem trzewik za burtę i zdałem sobie nagle sprawę, że tego właśnie wyczekiwałem — rozmowy z Kurtzem. Odkryłem dziwną rzecz: nie wyobrażałem go sobie nigdy jako działającego, uważacie, tylko jako rozprawiającego. Nie powiedziałem sobie: „Teraz go już nigdy nie zobaczę", albo: „Teraz już nigdy nie uścisnę mu ręki", ale: „Teraz go już nigdy nie usłyszę". Ten człowiek przedstawiał mi się jako głos. Naturalnie, że kojarzył mi się w myśli i z pewnego rodzaju działaniem. Czyż mi nie powtarzano na wszelkie możliwe tony zazdrości i podziwu, że ten człowiek zebrał, wymienił na inne towary, wykpił czy ukradł więcej kości słoniowej niż wszyscy agenci razem? Ale nie o to mi chodziło. Chodziło mi o to, że był to człowiek utalentowany i że ze wszystkich jego talentów tym, który najbardziej rzucał się w oczy, który dawał wrażenie żywej osobowości, była jego zdolność do mówienia, jego słowo — dar wypowiadania się, zdumiewający, rozświetlający, najwznioślejszy i najbardziej godny pogardy, strumień rozedrganego światła lub zwodniczy potok wypływający z głębi nieprzeniknionej ciemności. Głos

Drugi trzewik poleciał na ofiarę szatańskiemu bogu tej rzeki. Pomyślałem sobie: zaiste, wszystko już teraz skończone. Spóźniliśmy się; Kurtz znikł, a dar jego przepadł — za sprawą jakiejś włóczni, strzały lub maczugi. I nigdy go już nie usłyszę. Mój smutek miał w sobie dziwne, przesadne wzruszenie; właśnie takie samo jak to, które zauważyłem w wyjącym smutku dzikich w dżungli. Nie mógłbym odczuwać bardziej rozpaczliwej samotności, gdyby mi wydarto jakąś wiarę albo gdybym się minął ze swoim przeznaczeniem... Kto to tam wzdycha w taki nieznośny sposób? Idiotyzm? Więc tak, to był idiotyzm. Miłosierny Boże! czy człowiek ma zawsze... No, ale dajcież mi trochę tytoniu. Samotność

Nastała chwila głębokiej ciszy, potem błysnęła zapałka i szczupła twarz Marlowa wystąpiła z mroku zniszczona, zapadnięta, z fałdami zbiegającymi ku dołowi, ze spuszczonymi powiekami, jakby uważna i skupiona; a gdy raz po raz zaciągał się dymem z fajki, twarz jego zdawała się cofać w noc i znów występować, w miarę jak drobny płomyk pełgał w regularnych odstępach. Zapałka zgasła.

— Idiotyzm! — zawołał. — To najprzykrzejsze, że nie możecie mnie zrozumieć... Oto jesteście tu wszyscy, każdy z was zaopatrzony w dwa dobre adresy jak hulk[79] tkwiący na dwóch kotwicach; każdy ma rzeźnika za jednym rogiem, policjanta za drugim, doskonały apetyt i normalną temperaturę — słyszycie? — normalną przez okrągły rok. I mówicie: idiotyzm. Do diabła z idiotyzmem! Idiotyzm! Moi drodzy, czego się można spodziewać po człowieku, który jedynie ze zdenerwowania chwilę przedtem wyrzucił za burtę parę nowych trzewików! Gdy teraz o tym wspominam, zdumiewam się, że nie zacząłem płakać. Jestem na ogół dumny ze swojej siły charakteru. Czułem się dotknięty do żywego myślą, że przepadł dla mnie bezcenny przywilej przysłuchiwania się utalentowanemu Kurtzowi. Nie miałem oczywiście racji. Ten przywilej czekał na mnie. O tak, nasłuchałem się Kurtza aż do przesytu. I okazało się, że moje pojęcie o nim było słuszne. Głos. Kurtz był już prawie tylko głosem. I słuchałem go — tego głosu — innych głosów — wszyscy byli prawie że tylko głosami — i nawet wspomnienia o tamtych czasach błąkają się koło mnie — nieuchwytne — jak zamierająca wibracja jakiejś nieskończonej paplaniny, głupiej, okrutnej, plugawej, dzikiej lub po prostu pospolitej, pozbawionej wszelkiego sensu. Głosy, głosy — nawet i ta dziewczyna... Otóż —

Milczał długi czas.

— Odżegnałem się w końcu kłamstwem od wizji jego talentów — zaczął nagle. — Dziewczyna! Co? Wspomniałem o dziewczynie? Och, ona jest poza tym — najzupełniej! One — mam na myśli kobiety — są poza tym — i tak być powinno. Musimy im pomagać, aby mogły pozostać w tym swoim pięknym świecie, bo inaczej nasz świat stałby się jeszcze gorszy. Och, ona musiała być poza tym wszystkim. Trzeba wam było słyszeć, jak wyciągnięte z grobu ciało Kurtza mówiło: „moja narzeczona". Bylibyście zrozumieli natychmiast, jak dalece ona była poza tym. A to wyniosłe czoło Kurtza! Mówią, że włosy rosną i potem, ale ten — hm — okaz był wybitnie łysy. Dzicz poklepała go po głowie Kobieta

[79] *hulk* — okręt, na stałe zakotwiczony w porcie, wykorzystywany jako mieszkanie bądź magazyn. [przypis edytorski]

i oto głowa ta stała się podobna do kuli, do kuli z kości słoniowej; dzicz popieściła go — i oto zwiądł; zagarnęła go, pokochała, otoczyła ramionami, przeniknęła mu do żył, pożarła ciało i przykuła jego duszę do swojej przez niepojęty rytuał jakiegoś szatańskiego wtajemniczenia. Stał się jej rozpieszczonym i zepsutym ulubieńcem. Kość słoniowa? Oczywiście! Całe kupy, całe sterty kości słoniowej. Stara szopa z mułu była nią przepełniona. Mogło się zdawać, że ani jeden kieł nie pozostał na ziemi czy pod ziemią w całym kraju. „Przeważnie kopalna" — zauważył pogardliwie dyrektor. Była równie kopalna, jak i ja jestem kopalny; tak nazywają kość słoniową wydobytą z ziemi. Okazuje się, że Murzyni niekiedy zakopują kły, ale najwidoczniej nie umieli zakopać tej partii tak głęboko, aby uchronić utalentowanego Kurtza przed jego przeznaczeniem. Zapełniliśmy kłami parowiec i jeszcze musieliśmy ułożyć cały ich stos na pokładzie. Toteż Kurtz mógł patrzeć na nie i cieszyć się nimi, póki żył jeszcze, gdyż doceniał ten dar losu aż do końca. Trzeba go było słyszeć, jak mówił: „moja kość słoniowa". O tak, słyszałem go. „Moja narzeczona, moja kość słoniowa, moja stacja, moja rzeka, moje...", wszystko należało do niego. Powstrzymywałem oddech, spodziewając się, że puszcza wybuchnie szalonym śmiechem, od którego gwiazdy zadrżą w posadach. Wszystko należało do niego — ale to drobnostka. Trzeba było przede wszystkim ustalić, do kogo on należał, ile ciemnych potęg uważało go za swoją własność. Skóra cierpła na człowieku, kiedy się o tym myślało. Nie można sobie było tego wystawić[80] — i nawet było lepiej nie zastanawiać się nad tym. Kurtz zajął wysokie miejsce wśród szatanów tego kraju — mówię to dosłownie.

Bogactwo

Zło

Nie możecie tego zrozumieć! I cóż dziwnego? Macie pod nogami solidny bruk, otaczają was życzliwi sąsiedzi, którzy gotowi są dodać wam ducha albo rzucić się na was, kroczycie sobie ostrożnie między rzeźnikiem a policjantem, przejęci zbawiennym strachem przed skandalem i szubienicą, i zakładem dla obłąkanych — więc jakżebyście mogli sobie wyobrazić owe szczególne krainy pradawnych wieków, dokąd nieskrępowane kroki mogą człowieka zaprowadzić przez samotność — zupełną samotność, bez policjanta — przez milczenie — zupełne milczenie, w którym się nie rozlegnie żaden głos dobrotliwego sąsiada, szepcącego o opinii publicznej. Te wszystkie drobne rzeczy składają się na wielką różnicę. Kiedy ich zbraknie, musi się człowiek oprzeć na własnej, wrodzonej sile, na swojej własnej prawości. Można być oczywiście zbyt wielkim głupcem, aby zejść z prostej drogi, zbyt tępym, by nawet wiedzieć, że się jest napastowanym przez mroczne potęgi. Twierdzę, iż żaden głupiec nie sprzedał nigdy diabłu swej duszy; może głupiec jest na to za głupi, a może diabeł zbyt diabelski — nie umiem tego powiedzieć. Zdarzają się też czasem tak wściekle podniosłe istoty, że są najzupełniej głuche i ślepe na wszystko prócz niebiańskich widzeń i dźwięków. Dla nich ziemia jest tylko miejscem postoju — a czy taka natura jest dla człowieka stratą, czy zyskiem, nie podejmę się rozstrzygnąć. Ale większość z nas nie należy ani do jednego, ani do drugiego z tych typów. Ziemia jest dla nas miejscem, gdzie żyjemy, gdzie musimy znosić różne widoki, dźwięki, a także i zapachy, dalibóg! oddychać wonią zdechłego hipopotama, że się tak wyrażę, a jednak się nie zatruć. Właśnie tutaj — rozumiecie mnie? — wchodzi w grę siła człowieka — wiara w swoją umiejętność dyskretnego kopania dołów, w których się zagrzebuje różne odpadki — zdolność do oddania się nie własnemu celowi, ale jakiejś sprawie bynajmniej nie rozgłośnej, przygniatającej swoim ciężarem. A to jest dosyć trudne.

Prawo, Sąsiad

Diabeł, Głupiec

Zrozumcie, że nie staram się nikogo usprawiedliwiać ani nawet tłumaczyć — staram się tylko zdać sobie sprawę z... z... Kurtza — z cienia Kurtza. Ten wtajemniczony duch, który przyszedł z głębi nicości, zaszczycił mnie zdumiewającą ufnością przed swym ostatecznym zniknięciem. A to z tego powodu, że mógł mówić ze mną po angielsku. Dawny, realny Kurtz kształcił się częściowo w Anglii i — jak sam łaskawie oświadczył — sympatie jego leżały po właściwej stronie. Matka jego była na wpół Angielką, ojciec — na wpół Francuzem. Cała Europa złożyła się na Kurtza; i dowiedziałem się z czasem, że Międzynarodowe Towarzystwo Tępienia Dzikich Obyczajów powierzyło mu opracowanie referatu jako wytycznej dla tegoż towarzystwa. A Kurtz ten referat napisał. Widziałem go. Czytałem. Był wymowny, tętniący wymową, lecz nastrojony na zbyt wysoką nutę, jak mi się zdaje. Kurtz znalazł czas, by zapełnić gęstym pismem całych siedemnaście stron! Ale to było zapewne wtedy, nim jego — powiedzmy — nerwy się rozkleiły, i to sprawi-

[80] *wystawić* (daw.) — wyobrazić. [przypis edytorski]

ło, że przewodniczył o północy pewnym tańcom, kończącym się obrzędami, o których mówić nie sposób i które — o ile mogłem wywnioskować z odrazą z tego, co słyszałem — odbywały się na jego cześć — rozumiecie? — na cześć Kurtza we własnej osobie. Ale raport był świetną próbką prozy. Tylko że pierwszy jego paragraf[81] wydaje mi się teraz złowróżbny w świetle późniejszych informacji. Zaczynał się od dowodzenia, że my, biali, na osiągniętym przez nas szczeblu rozwoju musimy z natury rzeczy wydawać się im (dzikim) istotami nadnaturalnymi — „zbliżamy się do nich z potęgą, jak gdyby bóstwa" — i tak dalej, i tak dalej. „Przez prosty wysiłek woli możemy rozwinąć dodatnią działalność o potędze iście nieograniczonej", itd. itd. Od tego punktu wznosił się coraz wyżej i uniósł mnie z sobą. Perora była wspaniała, choć, wiecie, trudna do zapamiętania. Wywołała we mnie obraz jakiegoś egzotycznego Bezmiaru rządzonego przez wzniosłą Dobrotliwość. Porwał mnie zapał. Był to skutek bezgranicznej potęgi wymowy — słów — płomiennych, szlachetnych słów. Żadne praktyczne wskazówki nie przerywały magicznego toku zdań, chyba że uznamy za rozwinięcie metody coś w rodzaju notatki przy końcu ostatniej strony, notatki nagryzmolonej niepewną ręką snadź[82] znacznie później. Była bardzo prosta, i u końca tego wzruszającego wezwania do wszelkich altruistycznych uczuć gorzała, jaśniejąca i przeraźliwa jak błyskawica wśród pogodnego nieba: „Wytępić wszystkie te bestie!"

Przemoc

Co ciekawe, Kurtz zapomniał widać zupełnie o swym cennym postscriptum, gdyż później, kiedy w pewnej mierze przyszedł do siebie, błagał mnie raz po raz, abym przechował starannie jego „broszurkę" (jak mówił); nie wątpił widać, że ów referat wywrze w przyszłości dodatni wpływ na jego karierę. Byłem dokładnie poinformowany o wszystkich tych sprawach, a przy tym tak się złożyło, że musiałem się zaopiekować dobrą sławą Kurtza po jego śmierci. Zrobiłem tyle dla jego opinii, że uzyskałem niezaprzeczone prawo złożenia jej — gdybym miał wolny wybór — na wieczny spoczynek między odpadkami postępu, wśród wszelkiego śmiecia i, mówiąc w przenośni, wszelkiej padliny cywilizacji. Tylko że, widzicie, nie mam wolnego wyboru. Kurtz nie pozwala o sobie zapomnieć. Mimo wszystko nie był to człowiek pospolity. Miał władzę pociągania za sobą pierwotnych dusz — przez swój czar czy też grozę — w straszliwy, szatański taniec na własną cześć; potrafił napełniać gorzkimi obawami małe duszyczki pielgrzymów; miał co najmniej jednego oddanego przyjaciela i zdobył na tym świecie duszę, która nie była ani pierwotna, ani zatruta sobkostwem. Nie; nie mogę o nim zapomnieć, chociaż nie twierdziłbym, że wart był istotnie ludzkiego życia, któreśmy stracili, docierając do stacji. Brakowało mi strasznie zabitego sternika — odczułem dotkliwie jego brak już wówczas, gdy leżał martwy w domku pilota. Może uznacie za bardzo dziwaczny ten żal za dzikusem, który nie znaczył więcej od ziarnka piasku w czarnej Saharze. Czyż nie rozumiecie, że ten Murzyn coś robił, że sterował; przez całe miesiące tkwił za moimi plecami — jako pomoc, jako narzędzie. To było coś w rodzaju spółki. Sterował na mój rozkaz — musiałem go pilnować, irytowały mnie jego wady i w taki sposób powstały między nami subtelne więzy, z których zdałem sobie sprawę dopiero po ich zerwaniu. A poufna głębokość wzroku, którym ogarnął mnie w chwili, gdy został raniony, pozostała mi po dziś dzień w pamięci — niby apel odległego pokrewieństwa, stwierdzonego w ostatniej chwili.

Trup

Biedny głuptas! Czemuż nie zostawił w spokoju tej okiennicy. Ale nie miał hamulca, nie miał żadnego hamulca — zupełnie jak Kurtz — drzewo miotane wichrem. Natychmiast po włożeniu suchych pantofli wyciągnąłem go na pokład, wyrwawszy mu przedtem włócznię z boku, a muszę wyznać, że wykonałem tę operację z zaciśniętymi powiekami. Pięty jego przeskoczyły razem przez niski próg; przycisnąłem jego grzbiet do swych piersi; objąłem go od tyłu rozpaczliwym chwytem. Ach, jakiż on był ciężki, jaki ciężki, cięższy od wszystkich innych ludzi — tak mi się przynajmniej zdawało. Potem bez dalszych ceregieli wyrzuciłem go za burtę. Prąd porwał ciało jak źdźbło trawy, i widziałem jeszcze, jak się obróciło dwa razy, nim na zawsze straciłem je z oczu. Wszyscy pielgrzymi i dyrektor byli wówczas zebrani na osłoniętym pomoście wkoło domku pilota, papląc między sobą jak stado podnieconych srok; mój pośpiech świadczący o braku serca wywołał pomruk zgorszenia. Dlaczego ci ludzie chcieli, aby trup się poniewierał po statku, nie umiem tego

[81] *paragraf* — dziś: akapit. [przypis edytorski]
[82] *snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

odgadnąć. Może zamierzali go zabalsamować. Ale usłyszałem też inny pomruk z dolnego pokładu — pomruk bardzo złowieszczy. Moi przyjaciele drwale byli również zgorszeni, ale mieli po temu daleko istotniejsze powody — choć przyznaję, że te powody same przez się były zupełnie niedopuszczalne. Ale to zupełnie! Otóż postanowiłem, że jeśli już mój zmarły sternik ma być zjedzony, to tylko przez ryby. Za życia był sternikiem bardzo drugorzędnym, ale po śmierci mógł się stać pierwszorzędną pokusą i nawet wywołać jakieś groźne kłopoty. Poza tym spieszno mi było wrócić do steru, gdyż człowiek w różowej pidżamie okazał się beznadziejnym durniem przy tej robocie.

Zrobiłem to natychmiast, skończywszy z prostym pogrzebem. Płynęliśmy połową szybkości, trzymając się samego środka rzeki; przysłuchiwałem się rozmowom toczącym się naokoło. Wszyscy postawili już krzyż nad Kurtzem i stacją; Kurtz nie żyje, stacja spalona i tak dalej, i tak dalej. Rudy pielgrzym nie posiadał się z radości na myśl, że ten biedny Kurtz został przynajmniej należycie pomszczony.

Walka

— Powiedzcie tylko! Sprawiliśmy im porządną rzeź w tej dżungli — może nie? No? Co o tym myślicie? Prawda?

Ten krwiożerczy, mały, bojaźliwy łajdak tańczył po prostu z uciechy. A przedtem o mało co nie zemdlał na widok rannego człowieka. Nie mogłem się powstrzymać i rzekłem:

— W każdym razie narobiliście, panowie, mnóstwo dymu.

Widziałem po wierzchołkach zarośli, które wstrząsnęły się i opadły, że prawie wszystkie strzały poszły za wysoko. Nie można trafić, jeśli się nie celuje i nie strzela od ramienia, tymczasem ci faceci strzelali oparłszy kolbę o biodro i zamknąwszy oczy. Twierdziłem więc — i miałem rację — że odwrót dzikich był wywołany przez świst gwizdawki parowej. Usłyszawszy to, pielgrzymi zapomnieli o Kurtzu i zaczęli na mnie ryczeć, zaprzeczając z oburzeniem.

Dyrektor stał obok koła i szeptał do mnie poufnie, że w każdym razie trzeba koniecznie ujechać dobry kawał w dół rzeki, zanim się ściemni, gdy wtem spostrzegłem w oddali polankę na wybrzeżu i zarysy jakiegoś budynku.

— Co to takiego? — spytałem.

Klasnął w ręce ze zdziwienia.

— Stacja! — wykrzyknął. Skręciłem od razu ku brzegowi, jadąc wciąż połową szybkości.

Zobaczyłem przez szkła stok pagórka i z rzadka po nim rozsiane drzewa bez żadnego podszycia. Długa, chyląca się do upadku budowla na szczycie wzgórza nurzała się do połowy w wysokiej trawie; wielkie dziury na stromym dachu ziały czernią z oddali; tło stanowiły lasy i dżungla. Nie dostrzegłem ogrodzenia ani żadnego płotu; ale, widać, poprzednio stało tam coś w tym rodzaju, bo blisko domu tkwiło rzędem pół tuzina wysmukłych, z gruba ciosanych pali, o końcach ozdobionych okrągłymi, rzeźbionymi kulami. Znikła spomiędzy tych słupów bariera czy cokolwiek tam było innego. Las otaczał naturalnie to wszystko. Brzeg był pusty, a tuż nad wodą zobaczyłem białego pod kapeluszem wielkości koła od wozu; człowiek ów kiwał na nas wytrwale ręką. Przypatrując się skrajowi lasu w górze i w dole, byłem prawie pewien, że widzę tam jakich ruch — ludzkie kształty przesuwające się gdzieniegdzie. Przejechałem przezornie obok stacji, po czym zatrzymałem maszyny i pozwoliłem statkowi dryfować w dół. Człowiek na brzegu zaczął wołać nastając, abyśmy wylądowali.

— Napadli nas! — krzyknął dyrektor.

— Wiem, wiem. To dobrze — odkrzyknął tamten wesoło jakby nigdy nic. — Chodźcie tu. Wszystko w porządku. Bardzo się cieszę.

Strój

Wygląd jego przypominał mi coś znanego — śmiesznego — co już kiedyś widziałem. Manewrowałem, aby przybić do brzegu, pytając sam siebie: „Do czego ten człowiek jest podobny?" Nagle błysnęło mi w głowie: wyglądał jak arlekin[83]. Miał na sobie ubranie z jakiegoś materiału, prawdopodobnie z brązowego płótna, które całe było pokryte łatami, jasnymi łatami, niebieskimi, czerwonymi i żółtymi — łaty na plecach, łaty na przodzie; łaty na łokciach, na kolanach; barwna lamówka u kurtki, szkarłatna naszywka u końca spodni; w blasku słońca wyglądał w tym niezmiernie wesoło, a przy tym dziwnie

[83] *arlekin* — postać zakochanego sługi z komedii dell'arte. [przypis edytorski]

schludnie, gdyż było widać, jak pięknie te wszystkie łaty są zrobione. Chłopięca twarz bez zarostu o bardzo jasnej cerze, rysy bynajmniej nie wybitne, łuszczący się nos, małe niebieskie oczka; a na tej szczerej fizjonomii[84] śmiech i posępność goniące się wciąż nawzajem jak blaski i cienie po równinie zamiatanej przez wicher.

— Niech pan uważa, panie kapitanie! — krzyknął — tu tkwi pień od wczorajszego wieczoru.

Co takiego? Jeszcze jeden pień? Wyznaję, że zakląłem haniebnie. O mały włos nie wybiłem dziury w moim kalece na zakończenie tej uroczej podróży. Arlekin na wybrzeżu podniósł ku mnie swój mały, mopsi nosek.

— Pan jest Anglikiem? — zapytał, cały w uśmiechach.

— A pan? — zawołałem od koła.

Uśmiech znikł z jego twarzy; zaprzeczył głową, jakby się martwił moim rozczarowaniem. Potem się wnet rozweselił.

— To nic! — krzyknął zachęcająco.

— Czyśmy jeszcze zdążyli? — zapytałem.

— On jest tam na górze — odparł, kiwnąwszy głową w stronę pagórka i nagle sposępniał. Twarz jego była podobna do jesiennego nieba, chmurna i rozjaśniona na przemian.

Gdy dyrektor z eskortą pielgrzymów uzbrojonych od stóp do głów udał się do stacyjnego budynku, facet ów przyszedł na pokład. Rzekłem do niego:

— Wie pan, to mi się nie podoba. Dzicy siedzą tam w gąszczu. — Zapewnił mnie poważnie, że wszystko jest dobrze.

— To prości ludzie — dodał. — No, cieszę się, żeście przyjechali. Przez cały ten czas byłem zajęty tylko tym, aby ich utrzymać z daleka.

— Ależ pan powiedział, że wszystko jest dobrze! — zawołałem.

— Ach, oni nie mieli żadnych złych zamiarów — rzekł i poprawił się widząc, że się w niego wpatruję: — W gruncie rzeczy nie mieli złych zamiarów. — Potem oświadczył żywo: — Słowo daję, wasz domek pilota potrzebuje na gwałt wyczyszczenia. — W następnej sekundzie poradził mi, aby zostawić dość pary w kotle dla uruchomienia gwizdawki w razie jakiej biedy. — Jeden porządny gwizd więcej wam pomoże niż wszystkie wasze strzelby. To prości ludzie — powtórzył. Mełł wciąż językiem w takim tempie, że zupełnie mnie oszołomił. Zdawało się, że chce sobie powetować[85] długie okresy milczenia, i rzeczywiście przyznał się do tego ze śmiechem.

— A z Kurtzem pan nie rozmawia? — rzekłem.

— Z tym człowiekiem się nie rozmawia, jego się słucha! — wykrzyknął z surową egzaltacją. — Tylko że teraz... Machnął ręką i w mig pogrążył się w bezdennym przygnębieniu. Po upływie sekundy otrząsnął się z niego w podskoku, porwał mnie za obie ręce i potrząsał nimi czas dłuższy, bąkając: — Kolega marynarz... honor... przyjemność... rozkosz... przedstawić się... Rosjanin... syn archijereja[86]... gubernia tambowska... Co? Tytoń! Angielski tytoń; świetny tytoń angielski! Doprawdy, to po bratersku. Czy palę? Gdzieżby marynarz nie palił!

Fajka wpłynęła na niego kojąco; stopniowo dowiedziałem się, że uciekł ze szkół i dostał się na morze na rosyjskim statku; potem uciekł znów i służył czas pewien na statkach angielskich; był już teraz w zgodzie z archijerejem. Kładł na to nacisk.

— Ale kiedy się jest młodym, trzeba zobaczyć różne rzeczy, zdobyć doświadczenie, zapoznać się z różnymi pojęciami, rozszerzyć swój widnokrąg.

— Tutaj? — przerwałem.

— Tego nigdy nie można przewidzieć! Tutaj spotkałem Kurtza — rzekł w młodzieńczym porywie tonem uroczystym i pełnym wyrzutu. Odtąd trzymałem już język za zębami. Okazało się, że namówił zarząd jakiegoś holenderskiego domu handlowego z wybrzeża, aby go zaopatrzono w zapasy i towary, po czym wyruszył z lekkim sercem w głąb kraju, mając wprost dziecinne wyobrażenie o tym, co go czeka. Wędrował w pobliżu tej rzeki już prawie dwa lata, samotny, odcięty od wszystkich i od wszystkiego.

[84] *fizjonomia* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]
[85] *powetować* (daw.) — zrekompensować. [przypis edytorski]
[86] *archijerej* — wyższy duchowny prawosławny. [przypis edytorski]

— Nie jestem taki młody, na jakiego wyglądam. Mam już dwadzieścia pięć lat — rzekł. — Stary Van Shuyten posyłał mnie z początku do wszystkich diabłów — rozpowiadał z wielkim ożywieniem — ale uczepiłem się go i póty gadałem i gadałem, aż wreszcie zaczął się bać, że wygadam mu dziurę w brzuchu, no i dał mi trochę tanich towarów oraz parę strzelb oświadczając, iż ma nadzieję nigdy już mojej twarzy nie ujrzeć. To zacny stary Holender, ten Van Shuyten. Posłałem mu przed rokiem małą partię kości słoniowej, więc nie będzie mógł nazwać mnie złodziejem, gdy wrócę. Mam nadzieję, że ją otrzymał. O resztę nie dbam. Urąbałem dla was trochę drzewa. Tam był mój dawny dom. Czy pan go widział?

Książka, Język

Dałem mu książkę Towsona. Zrobił ruch, jakby mnie chciał pocałować, ale się powstrzymał.

— Jedyna książka, która mi pozostała; myślałem, że ją zgubiłem — rzekł, patrząc na nią z ekstazą. — Tyle różnych wypadków zdarza się człowiekowi włóczącemu się samotnie, pan to rozumie. Czasem wywróci się łódka, a czasem znów trzeba się piorunem wynosić, kiedy się ludzie rozgniewają.

Przewracał kartkę za kartką.

— Pan robił notatki po rosyjsku? — spytałem. Skinął głową. — A mnie się zdawało, że to szyfr — rzekłem. Roześmiał się, potem znów spoważniał.

— Z wielką trudnością utrzymałem tych ludzi z daleka — powiedział.

— Czy chcieli pana zabić? — spytałem.

— Ach nie! — krzyknął i urwał.

— Dlaczego nas napadli? — ciągnąłem. Zawahał się i rzekł wstydliwie:

— Nie chcą, aby odjechał.

— Doprawdy? — rzekłem z zaciekawieniem. Kiwnął głową tajemniczo, z mądrą miną.

— Mówię panu — zawołał — że ten człowiek wzbogacił mi duszę!

Otworzył szeroko ramiona, wpatrując się we mnie małymi, niebieskimi oczkami, które były zupełnie okrągłe.

III

Patrzyłem na niego, pogrążony w zdziwieniu. Oto stał przede mną pełen zapału, odziany w tę pstrokaciznę, jakby zbiegł z trupy aktorów — postać z bajki. Samo jego istnienie było nieprawdopodobne, niewytłumaczone i wręcz oszałamiające. Stanowił nierozwiązalną zagadkę. Niepojęte było, jak mógł w ogóle istnieć, jak mu się udało dotrzeć tak daleko, jak zdołał przetrwać — dlaczego nie zginął natychmiast.

Podróż

— Szedłem sobie trochę dalej — mówił — a potem jeszcze trochę dalej — aż wreszcie zaszedłem tak daleko, że nie wiem, jakim sposobem będę mógł kiedyś wrócić. Ale to nic. Czasu mam dosyć. Jakoś to będzie. Zabierajcie Kurtza prędko, prędko — już ja wam to mówię.

Młodość

Czar młodości opromieniał jego różnokolorowe łachmany, jego nędzę, jego samotność i pustkę jego bezcelowych wędrówek. Przez miesiące, przez całe lata życie tego człowieka nie było warte i szeląga; a oto stał przede mną, pełen nieświadomej żywotności, odwagi, i — rzekłbyś — niezniszczalny, jedynie przez swą młodość i odruchowe męstwo. Ogarnęło mnie coś jak podziw, jak zazdrość. Złudny czar gnał go naprzód — złudny czar go ochraniał. Ów młodzik nie żądał z pewnością od dziczy nic prócz przestrzeni, aby móc oddychać i posuwać się naprzód. Potrzebą jego było istnieć i dążyć przed siebie z możliwie największym ryzykiem, wśród jak najcięższego niedostatku. Tym młodzieńcem pokrytym łatami władał absolutnie czysty, bezinteresowny i najmniej praktyczny z awanturniczych duchów, jakie kiedykolwiek rządziły ludzką istotą. Zazdrościłem mu prawie tego skromnego i jasnego płomienia. Zdawało się, że ów płomień pochłonął w nim tak doszczętnie każdą myśl samolubną, iż nawet gdy słuchałem o jego przygodach, zapominałem, że to właśnie on — ten człowiek stojący przede mną — przeszedł wszystkie te rzeczy. Nie zazdrościłem mu jednak uwielbienia dla Kurtza. Wcale się nad nim nie zastanawiał. Przyszło do niego i przyjął je z pewnego rodzaju żarliwym fatalizmem. Muszę powiedzieć, że to uczucie wydało mi się ze wszech miar największym chyba niebezpieczeństwem, jakie napotkał dotychczas.

Spotkanie tych ludzi było nieuniknione jak zetknięcie się dwóch okrętów ogarniętych ciszą, burta w burtę, i ocierających się w końcu o siebie. Kurtz potrzebował, widać, słuchacza, bo wiem, że przy pewnej okazji rozmawiali przez całą noc, rozłożywszy się obozem w lesie; a właściwie pewnie sam Kurtz tylko mówił.

— Rozmawialiśmy o wszystkim — rzekł jego wielbiciel, porwany tym wspomnieniem. — Zapomniałem, że sen w ogóle istnieje. Miałem wrażenie, że ta noc nie trwała i godziny. O wszystkim! O wszystkim!... A także i o miłości.

— Ach, więc mówił z panem o miłości! — rzekłem, mocno tym ubawiony.

— Nie tak, jak pan myśli! — wykrzyknął prawie namiętnie. — Mówił o miłości w ogóle. Odsłonił przede mną takie rzeczy — takie rzeczy...

Podniósł gwałtownie ramiona. Byliśmy wówczas na pokładzie i starszy wśród moich drwali, który się wałęsał w pobliżu, zwrócił na niego ociężałe, błyszczące oczy. Rozejrzałem się i nie wiem dlaczego, ale doprawdy nigdy, nigdy jeszcze ten kraj, ta rzeka, ta dżungla, nawet sklepienie tego jaśniejącego nieba nie wydały mi się tak beznadziejne i tak ponure, tak nieprzeniknione dla ludzkiej myśli, tak bezlitosne dla ludzkiej słabości.

— I odtąd, naturalnie, był pan z nim ciągle razem — rzekłem.

Okazało się, że nie. Stosunki ich ulegały częstym przerwom z wielu powodów. Pielęgnował Kurtza, jak mi oświadczył z dumą, podczas dwóch chorób (wspominał o tym niby o ryzykownym jakimś czynie), ale zazwyczaj Kurtz wędrował sam, daleko w głąb lasów.

— Przychodziłem tu często na stację i nieraz musiałem czekać wiele dni, zanim się zjawił — opowiadał. — Ach, warto było czekać! — niekiedy.

— A co Kurtz robił? Badał okolice czy co? — zapytałem.

— O tak, naturalnie — Kurtz odkrył bardzo wiele wsi, a także jezioro — wielbiciel jego nie wiedział dokładnie, w jakim kierunku — niebezpiecznie było zanadto się dopytywać — ale w tych wyprawach chodziło mu przeważnie o kość słoniową.

— Przecież nie miał już wówczas towarów do handlu — wtrąciłem.

— Spora ilość naboi została po dziś dzień jeszcze — odpowiedział, nie patrząc mi w oczy.

— Mówiąc bez ogródek, kupił po prostu kraj — rzekłem. Tamten skinął głową. — Z pewnością nie sam jeden! — Mruknął coś w odpowiedzi o wsiach wokół tego jeziora. — Kurtz namówił tamte plemiona, aby szły za nim, prawda? — poddałem[87]. Poruszył się niespokojnie.

— Oni go ubóstwiali — rzekł.

Ton jego słów był taki nadzwyczajny, że popatrzyłem na niego badawczo. Zaciekawiło mnie, z jaką skwapliwością, a zarazem rezerwą mówił o Kurtzu. Ten człowiek wypełniał jego życie, zaprzątał jego myśli, rządził jego wzruszeniami.

Strach

— Czemu pan się tak dziwi? — wybuchnął. — Przybył do nich z gromem i błyskawicą, rozumie pan — nigdy w życiu czegoś podobnego nie widzieli — i wzbudził w nich okrutny strach. On potrafi być bardzo straszny. Nie można go sądzić jak zwykłego człowieka. Nigdy w życiu. Otóż... niech tam, powiem to, żeby panu dać o nim wyobrażenie: raz to i mnie chciał zastrzelić — ale ja go sądzić nie będę.

— Zastrzelić pana! — wykrzyknąłem. — I za co?

— Miałem tam trochę kości słoniowej, którą mi dał naczelnik tej wsi koło mego domku. Widzi pan, strzelałem dla nich zwierzynę. No więc Kurtzowi zachciało się tej kości słoniowej i nie dał sobie przemówić do rozsądku. Oświadczył, że mnie zastrzeli, jeśli mu tych kłów nie dam i nie wyniosę się potem z kraju; że mnie zastrzeli, bo może to zrobić i ma na to ochotę, i nic go na świecie nie powstrzyma od zabicia, kogo mu się żywnie podoba. To była prawda. Dałem mu tę kość słoniową. Cóż mi tam na niej zależało! Ale się nie wyniosłem. O nie! Nie mogłem go opuścić. Musiałem naturalnie być ostrożny, pókiśmy się znowu na pewien czas nie zaprzyjaźnili. Chorował właśnie wtedy po raz drugi. Potem trzeba było znów schodzić mu z oczu, ale nic sobie z tego nie robiłem. Mieszkał w tych wsiach nad jeziorem. Kiedy przychodził nad rzekę, to czasem mnie lubił, a czasem lepiej się było pilnować. Ten człowiek za wiele cierpiał. Nienawidził tego wszystkiego i jakoś nie mógł tego porzucić. Kiedy mi się trafiała sposobność, prosiłem

[87] *poddać* — tu: podsunąć jakąś myśl. [przypis edytorski]

go, żeby rzucił to wszystko, póki jeszcze czas; proponowałem, że wrócę z nim razem. Mówił: dobrze, a potem zostawał; wyruszał znów na poszukiwanie kości słoniowej; znikał na całe tygodnie; zapamiętywał się wśród tych ludzi — zapamiętywał się — rozumie pan.

— Przecież to wariat — rzekłem.

Zaprzeczył mi z oburzeniem. Gdzieżby Kurtz mógł być wariatem. Gdybym go słyszał mówiącego jeszcze przed dwoma dniami, nie śmiałbym napomykać o czymś podobnym... Wziąłem znów do ręki lunetę, podczas gdy tamten mówił, i patrzyłem na brzeg, wodząc szkłami po skraju lasu z obu stron domu i za nim. Niepokoiła mnie świadomość, że tam są ludzie w tym gąszczu, tacy cisi, tacy spokojni — równie spokojni i cisi jak walący się dom u szczytu wzgórza. Na obliczu natury nie było żadnego śladu tej zdumiewającej historii, której Rosjanin właściwie mi nie opowiadał, napomykał mi tylko o niej wśród oderwanych okrzyków i wzruszania ramionami, wśród ułamków zdań i aluzji przechodzących w głębokie westchnienia. Las był nieporuszony jak maska — głuchy jak zamknięte więzienne drzwi — i patrzył na mnie z wyrazem tajonej wiedzy, niedostępnego milczenia, cierpliwego oczekiwania. Rosjanin wyjaśniał w dalszym ciągu, że Kurtz powrócił nad rzekę dopiero niedawno, prowadząc z sobą wszystkich wojowników tego ludu znad jeziora. Nie było go przez kilka miesięcy — pewno odgrywał rolę bóstwa — i zjawił się niespodzianie, zamierzając prawdopodobnie zrobić najazd na kraj za rzeką lub w dolnym jej biegu. Widać apetyt na kość słoniową zwyciężył w nim — jakże to nazwać? — mniej materialne dążenia. Lecz nagle bardzo mu się pogorszyło.

— Usłyszałem, że leży bez sił, więc wybrałem się tutaj, zaryzykowałem to — rzekł Rosjanin. — O, z nim jest źle, bardzo źle.

Skierowałem szkła ku domowi. Nie dostrzegłem tam żadnych oznak życia; zobaczyłem znowu walący się dach, długą ścianę z mułu wyglądającą znad trawy, z trzema małymi, kwadratowymi otworami okiennymi różnych rozmiarów; wszystko to znalazło się przede mną jak gdyby na odległość ramienia. Poruszyłem się nagle i jeden ze słupów, pozostałych po ogrodzeniu, które znikło, znalazł się w obrębie mych szkieł. Pamiętacie, mówiłem wam, że uderzyły mnie już z daleka pewne próby ornamentacji, dość szczególne wobec ruiny tego miejsca. Teraz zobaczyłem je z bliska i pod pierwszym wrażeniem targnąłem głowę w tył jak przed ciosem. Potem przesuwałem szkła starannie od słupa do słupa i przekonałem się o swym błędzie. Owe okrągłe gałki to nie był ornament, lecz symbol; wyraziste i zagadkowe, uderzały i niepokoiły — jako pokarm dla myśli, a także dla sępów, gdyby się tam jakie znalazły i spojrzały spod nieba na ziemię; w każdym zaś razie był to pokarm dla mrówek, dość przemyślnych, by się wdrapać na słupy. Owe głowy na palach wywarłyby na mnie jeszcze większe wrażenie, gdyby ich nie obrócono twarzami ku szopie. Tylko jedna z nich, pierwsza, którą dostrzegłem, zwracała się w moją stronę. Nie zgorszyło mnie to tak dalece, jak byście mogli przypuszczać. Moje nagłe rzucenie się w tył było w gruncie rzeczy tylko odruchem zdziwienia. Widzicie, spodziewałem się, że znajdę kulę z drzewa. Wróciłem powoli do pierwszej głowy, którą dostrzegłem — i oto tkwiła tam, czarna, zeschła, zapadła, z zamkniętymi powiekami — zdająca się spać u szczytu tego pala, a ściągnięte jej, suche usta, ukazujące wąską i białą linię zębów, uśmiechały się, uśmiechały bez końca do jakiegoś nieustannego, żartobliwego snu wśród tej wieczystej drzemki.

Trup

Nie zdradzam żadnych handlowych sekretów. Faktem jest, że dyrektor mówił potem, iż metody Kurtza zrujnowały cały okręg. Nie mam w tej sprawie własnego zdania, ale chcę, abyście zrozumieli dokładnie: nic nikomu właściwie nie przyszło z tych głów tkwiących na palach. Świadczyły tylko o tym, że Kurtz nie miał żadnego hamulca w nasycaniu różnych żądz, że czegoś w nim brakowało, jakiejś drobnej rzeczy, której nie można było odnaleźć pod jego wspaniałą wymową, gdy zaszła nagląca potrzeba. Czy wiedział sam o tym swoim braku, nie umiem powiedzieć. Myślę, że uświadomił go sobie w końcu — dopiero w samym końcu. Ale dzicz przejrzała Kurtza wcześnie i wywarła na nim straszliwą zemstę za nieprawdopodobne jego najście. Myślę, że szeptała mu rzeczy, których sam o sobie nie wiedział, rzeczy, o których nie miał pojęcia, póki mu ich nie podsunęła ta wielka samotność; a ów szept dziczy okazał się nieprzeparcie ponętny. Rozebrzmiał w Kurtzu głośnym echem, ponieważ wnętrze jego było puste... Opuściłem szkła i głowa,

Szaleństwo

która wydawała mi się tak bliska, że można było do niej przemówić, odskoczyła zda się od razu na niedostępną odległość.

Wielbiciel Kurtza był nieco zbity z tropu. Zaczął mnie zapewniać prędko i niewyraźnie, że nie ośmielił się zdjąć tych — powiedzmy — symboli. Krajowców się nie obawia, oni nie ruszą się, póki Kurtz nie da hasła. Wpływ tego człowieka jest nadzwyczajny. Obozowiska dzikich są rozłożone wokoło, a wodzowie ich przychodzą dzień w dzień zobaczyć Kurtza. Czołgają się...

— Nie chcę nic wiedzieć o ceremoniach towarzyszących zbliżaniu się do Kurtza! — krzyknąłem. Ogarnęło mnie osobliwe uczucie, że takie szczegóły będą trudniejsze do zniesienia niż owe głowy suszące się na palach przed oknami. Ten widok był ostatecznie tylko dziki, podczas gdy tamto zdawało się mnie przenosić od razu w jakąś bezświetlną krainę wyrafinowanych okrucieństw, gdzie czysta, nieskomplikowana dzikość przynosi istotną ulgę jako coś, co ma prawo istnieć — jawnie — w blasku słońca. Młody człowiek popatrzył na mnie ze zdumieniem. Przypuszczam, że nie przyszło mu na myśl, iż dla mnie Kurtz bóstwem nie jest. Zapomniał, że nie słyszałem żadnego z tych wspaniałych monologów — o czym to? o miłości, sprawiedliwości, linii wytycznej życia — czego tam nie było! Gdyby doszło do czołgania się przed Kurtzem, czołgałby się jak najdzikszy z tych wszystkich dzikusów. Oświadczył, że nie mam pojęcia o tamtejszych warunkach: te głowy są głowami buntowników. Roześmiałem się, gorsząc go niepomiernie. Buntownicy! Jakież określenie miałem jeszcze usłyszeć? Byli tam już wrogowie, zbrodniarze, robotnicy — a teraz znów buntownicy. Te buntownicze głowy wydały mi się bardzo uległe na palach.

— Pan nie wie, jak ciężko znieść tutejsze życie człowiekowi takiemu jak Kurtz — krzyknął ostatni jego zwolennik.

— No a pan? — zapytałem.

— Ja! Ja! Ja jestem prostym człowiekiem. Ja nie mam wielkich planów. Nic od nikogo nie potrzebuję. Jakże pan może mnie porównywać z...

Taki był przejęty, że nie mógł wyrazić słowami swych uczuć; nagle stracił panowanie nad sobą.

— Nie rozumiem — jęknął. — Zrobiłem, co mogłem, aby go utrzymać przy życiu, i na tym koniec. Nie mieszałem się do tego wszystkiego. Nie jestem wcale utalentowany. Już od miesięcy nie ma tu ani kropli lekarstwa, ani odrobiny pożywienia odpowiedniego dla chorych. Opuszczono go haniebnie. Człowieka takiego jak on, człowieka o takich ideach. Haniebnie! Haniebnie! Ja... ja... nie spałem już dziesięć nocy...

Głos jego rozpłynął się w przedwieczornym spokoju. Długie cienie lasu zsunęły się ze wzgórza podczas naszej rozmowy daleko poza walącą się szopę, poza rząd symbolicznych pali. Zmierzch już ogarnął to wszystko, a my tam w dole znajdowaliśmy się jeszcze w blasku słońca; przestrzeń rzeki naprzeciw polanki gorzała[88] cichym, olśniewającym przepychem między obu mrocznymi, ocienionymi zakrętami w dole i w górze. Na brzegu nie było widać żywej duszy. Gąszcz nie szeleścił.

Nagle zza węgła domu ukazała się grupa ludzi jakby wyrosłych spod ziemi. Brodzili po pas w trawie zwartym oddziałem, dźwigając pośrodku zaimprowizowane nosze. Wśród pustki krajobrazu wzniósł się natychmiast przenikliwy krzyk i przebił spokojne powietrze jak ostra strzała mierząca wprost w serce kraju; a wówczas, jakby za sprawą czarów, strumienie ludzkich stworzeń — nagich ludzkich stworzeń — z włóczniami w rękach, z łukami, z tarczami, stworzeń o okrutnych spojrzeniach i dzikich ruchach, zaczęły spływać na polankę z mrocznego, zadumanego lasu. Gąszcz wstrząsał się, trawy się chwiały czas jakiś, a potem wszystko stanęło jak wryte w nieruchomej baczności.

— No, jeśli teraz nie powie im tego, co trzeba, to będzie po nas — rzekł Rosjanin u mego boku.

Grupa ludzi z noszami stanęła również jak skamieniała w pół drogi do parowca. Zobaczyłem ponad barkami tragarzy wychudłego człowieka na noszach, który usiadł i podniósł ramię.

— Miejmy nadzieję, że ten, który na ogół umie mówić tak dobrze o miłości, znajdzie teraz argument, by nas ocalić — rzekłem.

[88] *gorzeć* (daw.) — płonąć. [przypis edytorski]

Rozgoryczało mnie idiotyczne niebezpieczeństwo naszego położenia, jak gdyby zależność od tego okrutnego widma była hańbiącą koniecznością. Nie mogłem pochwycić żadnego dźwięku, ale przez szkła widziałem chude ramię wyciągnięte władczo, widziałem, że dolna szczęka się rusza, a oczy połyskują mrocznie w głębi kościstej głowy kiwającej się w groteskowych podrzutach. Kurtz — Kurtz — to znaczy po niemiecku krótki, nieprawdaż? Otóż to nazwisko było równie prawdziwe jak wszystko inne w jego życiu i śmierci. Wydało mi się, że ten człowiek ma przynajmniej siedem stóp[89] długości. Nakrycie opadło z jego ciała, które się wynurzyło niby ze śmiertelnej koszuli, nędzne i przerażające. Spostrzegłem, że klatka piersiowa porusza się wraz z żebrami, że widmo kiwa kośćmi ramienia. Wyglądało to, jakby rzezany w starej kości słoniowej żywy wizerunek śmierci potrząsał groźnie ręką wobec tłumu nieruchomych ludzi z ciemnego, połyskliwego brązu. Widziałem, że otwierał szeroko usta — nadawało mu to wygląd niesamowicie żarłoczny, jakby chciał połknąć całe powietrze i całą ziemię, i wszystkich ludzi przed sobą. Głęboki głos doszedł mnie słabo. Musiał widocznie krzyczeć. Wtem opadł na posłanie. Nosze wstrząsnęły się, gdy tragarze ruszyli znów naprzód, i prawie jednocześnie zauważyłem, że tłum dzikich znika bez żadnego dostrzegalnego ruchu, jak gdyby las, który raptem wyrzucił z siebie te stworzenia, wsysał je z powrotem, tak jak się wciąga powietrze w długim oddechu.

Choroba

Niektórzy z pielgrzymów idących za noszami trzymali broń Kurtza — dwie krócice[90], ciężką strzelbę i lekki samoczynny karabin — gromy tego opłakanego Jupitera[91]. Dyrektor szedł tuż obok jego głowy i pochylił się nad nim szepcząc. Położyli go w jednej z małych kajut — było tam miejsce tylko na tapczan i parę składanych krzeseł, jak wiecie. Przywieźliśmy mu spóźnioną korespondencję; podarte koperty i otwarte listy pokrywały łóżko. Ręka jego błądziła powoli wśród tych papierów. Uderzyła mnie płomienność jego oczu przy spokojnym, znużonym wyrazie twarzy. Nie było to właściwie osłabienie chorobą. Zdawał się nie odczuwać żadnych cierpień. Odniosłem wrażenie, że cień ten nasycił się już i uspokoił, że wyczerpał do dna wszystkie wzruszenia.

Nagle zaszeleścił jednym z listów i spojrzał mi prosto w twarz, mówiąc:

— Bardzo mi przyjemnie.

Głos

Widać ktoś mu o mnie napisał. Znów te specjalne polecenia! Zdumiała mnie potęga głosu, którym władał bez wysiłku, prawie nie zadając sobie trudu poruszania wargami. Co za głos! Uroczysty, głęboki, wibrujący — a zdawałoby się, że ten człowiek nie jest zdolny do szeptu. Miał w sobie jednak dość siły — z pewnością sztucznej — aby doprowadzić nas wszystkich prawie do zguby, jak zaraz usłyszycie.

Dyrektor ukazał się w drzwiach, milcząc; wyszedłem z kabiny natychmiast, a on zaciągnął za mną firankę. Rosjanin, na którego pielgrzymi zerkali z ciekawością, wpatrywał się w brzeg. Spojrzałem w kierunku jego wzroku.

W oddali można było rozróżnić ciemne ludzkie kształty migające niewyraźnie na tle mrocznego lasu, a blisko rzeki dwie brązowe, wojownicze postacie, wsparte na wysokich włóczniach, stały w blasku słońca spokojnie jak posągi; na głowach miały przybranie z fantastycznie upiętych, nakrapianych skór. A z prawej strony szła wzdłuż oświetlonego brzegu dzika i wspaniała postać kobieca.

Kobieta

Stąpała miarowym krokiem, owinięta w pasiastą szatę z frędzlami, depcząc dumnie ziemię wśród lekkiego brzęku i migotu barbarzyńskich ozdób. Trzymała głowę wysoko; włosy jej były upięte w kształt hełmu; na nogach miała mosiężne kółka aż do kolan, bransolety z mosiężnego drutu aż po łokcie, szkarłatną plamę na ciemnym policzku, nieprzeliczone naszyjniki ze szklanych paciorków u szyi; dziwaczne jakieś przedmioty, amulety, dary czarowników, które na niej wisiały, lśniły i drgały przy każdym kroku. Musiała mieć na sobie wartość kilku kłów. Była dzika i przepyszna, płomiennooka i wspaniała; jej powolne posuwanie się naprzód miało w sobie coś złowieszczego. A wśród ciszy, która spadła nagle na całą tę smutną krainę, olbrzymi obszar puszczy, cały ogrom płodnego i tajemniczego życia zdawał się patrzeć w nią, zadumany, jakby patrzył na wizerunek swej własnej mrocznej i namiętnej duszy.

---

[89] *stopa* — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

[90] *krócica* — broń palna o krótkiej lufie. [przypis edytorski]

[91] *Jupiter* a. *Jowisz* (mit. rzym.) — najważniejszy z rzymskich bogów, odpowiednik gr. Zeusa. [przypis edytorski]

Znalazłszy się naprzeciwko parowca, kobieta zatrzymała się i zwróciła w naszą stronę. Długi jej cień sięgał wody. Jej twarz o tragicznym i dzikim wyglądzie wyrażała obłędny smutek i niemy ból, a zarazem niepokój jakiegoś nurtującego ją, na wpół dojrzałego postanowienia. Stała, patrząc na nas bez ruchu; zdawało się, że — jak sama puszcza — rozważa ponuro jakiś nieprzenikniony zamiar. Przeszła cała minuta; kobieta postąpiła krok naprzód. Rozległ się cichy brzęk, zabłysły żółte metale, powiały frędzle draperii — i zatrzymała się, jakby jej zabrakło odwagi. Młodzik obok mnie coś mruknął. Pielgrzymi szeptali za moimi plecami. Kobieta patrzyła na nas, jakby życie jej zależało od niezłomnej wytrwałości tego wzroku. Wtem otworzyła nagie ramiona i poderwała je sztywno w górę, jak owładnięta niepohamowanym pragnieniem, by dotknąć nieba — a w tejże chwili chybkie cienie wypadły na ziemię i ogarnęły rzekę, obejmując parowiec w mrocznym uścisku. Straszliwa cisza wisiała nad krajobrazem.

Kobieta odwróciła się z wolna, ruszyła wzdłuż brzegu i weszła w gąszcz na lewo. Raz tylko błysnęły ku nam jej oczy wśród mrocznych zarośli — i znikła.

— Gdyby chciała się dostać na statek, zdaje mi się doprawdy, że byłbym ją zastrzelił — powiedział nerwowo człowiek w łatach. — W ciągu ostatnich dwóch tygodni dzień w dzień narażałem życie, aby ją utrzymać poza obrębem domu. Wtargnęła raz i zrobiła awanturę o te nędzne gałgany, które pozbierałem w składzie, by sobie naprawić ubranie. Byłem już nieprzyzwoity. Przypuszczam, że jej chodziło o te skrawki, bo jak furia gadała do Kurtza przez jaką godzinę, wskazując na mnie od czasu do czasu. Nie znam narzecza tego ludu. Na szczęście dla mnie, zdaje się, że Kurtz był wówczas bardzo chory i wcale go to nie obeszło, inaczej zdarzyłoby się jakie nieszczęście. Nie rozumiem. Doprawdy — tego mi już było za wiele. No, teraz już to wszystko minęło.

W tej chwili usłyszałem głęboki głos Kurtza za firanką:

— Ocalić mnie! ocalić kość słoniową, chce pan powiedzieć. Niechże pan nie gada. *Mnie* ocalić! Jak to, przecież to ja was musiałem ratować! Psujecie mi teraz plany. Chory! Chory! Nie taki chory, jak byście pragnęli. Mniejsza z tym. Wykonam jeszcze swoje plany — powrócę. Pokażę wam, co można zrobić. Wy z tymi waszymi kramarskimi pojęciami przeszkadzacie mi tylko. Ja powrócę. Ja...

Dyrektor wyszedł z kajuty. Zaszczycił mnie ujęciem pod ramię i odprowadzeniem na bok.

— Bardzo, bardzo już źle z nim — powiedział. Tu uznał za stosowne westchnąć, ale nie utrzymał się konsekwentnie w smutnym nastroju. — Zrobiliśmy dla niego wszystko, cośmy tylko mogli, nieprawdaż? Ale co tu ukrywać. Kurtz wyświadczył naszemu towarzystwu więcej złego niż dobrego. Nie zdawał sobie sprawy, że czasy nie dojrzały jeszcze do energicznej akcji. Ostrożność, ostrożność — oto moja zasada. Musimy być jeszcze ostrożni. Ten okręg jest na pewien czas dla nas zamknięty. Fatalne! Handel w ogóle na tym ucierpi. Nie przeczę, że znaleźliśmy tu znaczną ilość kości słoniowej, przeważnie kopalnej. Musimy ją w każdym razie ocalić, ale niech pan zważy, jak niepewna jest nasza pozycja — i dlaczego? Ponieważ metoda postępowania jest niezdrowa.

— Więc pan to nazywa „niezdrową metodą?" — zapytałem, patrząc na wybrzeże.

— Bez kwestii! — wykrzyknął gorąco. — A pan?

— To żadna metoda — mruknąłem po chwili.

— A właśnie, właśnie! — uradował się. — Przewidywałem to z góry. Ten człowiek wykazał zupełny brak wyrobienia. Obowiązkiem moim jest zaznaczyć to tam, gdzie trzeba.

— Ach — odpowiedziałem — tamten facet, jak to on się nazywa? ten ceglarz, wystosuje już dla pana raport jak się patrzy.

Wydał się zmieszany przez chwilę. Doznałem wrażenia, żem nigdy jeszcze nie oddychał atmosferą tak nikczemną, i w myśli zwróciłem się do Kurtza po ulgę, tak, dosłownie po ulgę.

— Mimo to wszystko uważam, że Kurtz jest wybitnym człowiekiem — rzekłem z naciskiem.

Drgnął, rzucił na mnie zimne, ciężkie spojrzenie i rzekł bardzo spokojnie.

— *Był* — i odwrócił się tyłem.

Godzina łaskawości dla mnie minęła; zostałem zaliczony do tej samej kategorii co Kurtz, jako zwolennik metod, do których czasy jeszcze nie dojrzały; uznano mnie za niepewnego! Ach, ale i to coś znaczyło, że mogłem dokonać wyboru między koszmarami.

W rzeczywistości zwróciłem się myślą do dziczy, a nie do Kurtza, który — nie miałem zamiaru temu przeczyć — był już niejako pogrzebany. I wydało mi się przez chwilę, jakbym też leżał w obszernym grobie, pełnym niewypowiedzianych tajemnic. Czułem nieznośny ciężar uciskający mi piersi, zapach wilgotnej ziemi, niewidzialną obecność zwycięskiego zepsucia, mrok nieprzeniknionej nocy... Rosjanin uderzył mnie po ramieniu. Usłyszałem, że mruczy coś pod nosem, jąkając się...

— Kolega marynarz zechciał ukryć wiadomości o rzeczach, które mogłyby zaszkodzić reputacji Kurtza.

Czekałem. Dla niego najwidoczniej Kurtz nie był jeszcze w grobie; przypuszczam, że należał w jego oczach do nieśmiertelnych.

— No! — rzekłem w końcu — niechże pan się wypowie. Tak się złożyło, że jestem — niejako — przyjacielem Kurtza.

Oznajmił mi na to w sposób wielce formalny, że gdybyśmy nie należeli do „tego samego zawodu", byłby zachował tę całą sprawę dla siebie bez względu na konsekwencje. Podejrzewa, że ci biali żywią w stosunku do niego jakieś złe zamiary...

— Pan ma słuszność — rzekłem, przypominając sobie pewną rozmowę, którą dawniej słyszałem. Dyrektor uważa, że powinno się pana powiesić.

Zaniepokoiła go ta wiadomość, co mnie z początku ubawiło.

— Lepiej zejść im spokojnie z drogi — rzekł z powagą. — Teraz nic już zrobić dla Kurtza nie mogę, a oni prędko by znaleźli jakiś pretekst. Cóż ich może powstrzymać? Placówka wojskowa jest stąd o trzysta mil.

— No, to doprawdy — rzekłem — może lepiej, aby pan nas opuścił, jeśli pan ma przyjaciół wśród dzikich w tej okolicy.

— Bardzo wielu — odpowiedział. — To prości ludzie — a pan wie, że ja nic nie potrzebuję. — Stał, gryząc wargi, i dodał: — Nie chciałbym, aby coś złego spotkało tutaj tych białych, ale myślałem naturalnie przede wszystkim o dobrej sławie Kurtza, przy tym pan jest kolegą marynarzem i...

— Dobrze — rzekłem po chwili. — Dobrej sławie Kurtza nie grozi z mojej strony żadne niebezpieczeństwo. — Nie wiedziałem, jak dalece moje słowa były prawdziwe.

Zniżywszy głos poinformował mnie, że to Kurtz kazał zaatakować parowiec.

— On czasem nie cierpiał myśli, że mogą go zabrać, a potem znów... Ale ja tych spraw nie rozumiem. Jestem prostym człowiekiem. Kurtz przypuszczał, że ten napad was odstraszy, że zaniechacie tego wszystkiego myśląc, iż nie żyje. Nie mogłem go powstrzymać. Och, ten ostatni miesiąc był dla mnie okropny.

— Aha — rzekłem. — Ale teraz już z nim jest lepiej.

— Ta-a-a-k — odparł, widać nie bardzo o tym przekonany.

— Dziękuję — odrzekłem — będę miał oczy otwarte.

— Ale dyskretnie, prawda? — nalegał z niepokojem. — Byłoby zgubne dla jego opinii, gdyby ktoś z tutaj obecnych... — Obiecałem mu bardzo poważnie zupełną dyskrecję. — Mam tu czółno i trzech czarnych, którzy czekają nie bardzo daleko. No, już mnie nie ma. Nie mógłby mi pan dać trochę naboi Martini-Henry?

Mogłem to zrobić i zrobiłem w należytej tajemnicy. Mrugnął na mnie porozumiewawczo i wziął sobie garść mego tytoniu. — Między marynarzami — pan rozumie — dobry tytoń angielski... — Odwrócił się jeszcze od progu: — Proszę pana, czy pan nie ma pary zbywających trzewików? — Podniósł nogę. — Niech pan patrzy. — Podeszwy były przywiązane sznurkami jak sandały do bosych nóg. Wygrzebałem jakąś starą parę, na którą spojrzał z podziwem, nim ją wetknął pod lewe ramie. Jedna z jego kieszeni (jasnoczerwona) była wypchana nabojami, z drugiej (ciemnoniebieskiej) sterczały Towsona *Badania dotyczące* itd. Zdawał się uważać siebie za świetnie wyekwipowanego na nową walkę z puszczą.

— Ach! Nigdy, nigdy już takiego człowieka nie spotkam. Czemuż pan go nie słyszał deklamującego poezje, i to jego własne, powiedział mi to. Poezje! — Przewrócił oczami na wspomnienie owych rozkoszy. — Jak ten człowiek rozszerzył mój horyzont!

— Do widzenia panu — rzekłem.

Uścisnął mi rękę i znikł wśród nocy. Zapytuję siebie czasami, czy go rzeczywiście widziałem — czy spotkanie z takim fenomenem było istotnie możliwe!...

Gdy się obudziłem wkrótce po północy, przyszła mi na myśl jego przestroga i wzmianka o niebezpieczeństwie, które wśród tego gwiezdnego mroku wydało mi się tak realne, że wstałem, aby rzucić okiem dokoła. Na wzgórzu paliło się wielkie ognisko, oświetlając od czasu do czasu krzywy węgieł stacyjnego budynku. Jeden z agentów wraz z kilku naszymi Murzynami, uzbrojonymi w tym celu, trzymał straż przy kości słoniowej; a daleko w głębi lasu czerwone, chwiejne błyski — które zdawały się wznosić z ziemi i opadać wśród mglistych kolumnowych kształtów o głębokiej czerni — wskazywały dokładnie miejsce obozowiska, gdzie czciciele Kurtza odbywali swe niespokojne wigilie[92]. Monotonne bicie w wielki bęben napełniało powietrze głuchymi uderzeniami i przeciągłą wibracją. Spokojny pomruk wielu ludzi, nucących każdy dla siebie jakieś niesamowite zaklęcia, płynął z czarnej, płaskiej ściany lasów jak brzęczenie pszczół z ula i wywierał dziwny, narkotyczny wpływ na moje wpół rozbudzone zmysły. Zdaje się, że drzemałem oparty o poręcz, póki nagły wybuch wrzasków, ogłuszający wybuch skupionego, tajemniczego szału nie zbudził mnie, oszołomionego zdumieniem. Ustał raptownie i cichy pomruk ciągnął się dalej, sprawiając wrażenie słyszalnej i kojącej ciszy. Zajrzałem mimochodem do małej kajuty. Paliło się tam światło, lecz Kurtza nie było.

Ucieczka

Sądzę, że byłbym krzyknął, gdybym wierzył swym oczom. Ale nie uwierzyłem z początku — wydało mi się to takie niemożliwe. Straciłem panowanie nad sobą, owładnięty prostym bezmyślnym strachem, czystym, bezprzedmiotowym przerażeniem, nie związanym z żadnym wyraźnym kształtem fizycznego niebezpieczeństwa. Moje wzruszenie było tak potężne wskutek — jakże mam to określić? — moralnego wstrząsu, któremu uległem, jakby spadło na mnie niespodzianie coś wręcz potwornego, nieznośnego dla myśli i przejmującego wstrętem duszę. Trwało to naturalnie najdrobniejszy ułamek sekundy, potem zaś pospolite uczucie zwykłego, śmiertelnego niebezpieczeństwa było zaiste pożądane i kojące; nie przejmowała mnie możliwość nagłego napadu i rzezi lub czegoś w tym rodzaju, co wisiało nad nami. Uspokoiłem się istotnie tak bardzo, że nie podniosłem alarmu.

Strach

O trzy stopy ode mnie siedział na krześle, na pokładzie, agent zapięty w ulster[93] po szyję i spał. Wrzaski go nie obudziły; chrapał lekko. Zostawiłem go śpiącego i wyskoczyłem na brzeg. Nie zdradziłem Kurtza — było mi sądzone, abym go nigdy nie zdradził — było zapisane, że mam pozostać wiernym do końca zmorze, na którą padł mój wybór. Pragnąłem koniecznie rozprawić się sam na sam z tym cieniem — i do dziś dnia nie wiem, dlaczego dbałem tak zazdrośnie o to, by nie dzielić się z nikim tym szczególnie posępnym przeżyciem.

Stanąwszy na brzegu zobaczyłem natychmiast ślad — szeroki ślad na trawie. Pamiętam uczucie tryumfu, z jakim powiedziałem do siebie: „Nie może chodzić — pełza na czworakach — mam go". Trawa była mokra od rosy. Szedłem szybko wielkimi krokami, zacisnąwszy pięści. Majaczyło mi się — tak mi się zdaje — że wpadnę na niego i porządnie wygarbuję mu skórę. Zresztą nie wiem. Przychodziły mi do głowy różne głupie myśli. Stara kobieta z kotem robiąca coś na drutach prześladowała moją pamięć, jako najmniej odpowiednia do tego, by tkwić u drugiego końca podobnej historii. Widziałem także szereg pielgrzymów, tryskających ołowiem w powietrze ze strzelb trzymanych u biodra. Przyszło mi na myśl, że nigdy nie wrócę już na parowiec, i wyobraziłem sobie, iż będę żył samotnie w puszczy — bez żadnej broni — aż do podeszłego wieku. No, wiecie, takie różne głupstwa. I pamiętam, że bicie w bęben mieszało się z biciem mego serca i że mnie cieszył spokojny jego rytm.

Trzymałem się wciąż śladu — potem przystanąłem, by nasłuchiwać. Noc była bardzo jasna, ciemnobłękitna przestrzeń iskrzyła się od rosy i gwiazd; czarne jakieś kształty stały w niej bardzo spokojnie. Wydało mi się, że dostrzegam, jakby coś się ruszało przede mną. Dziwnie byłem pewien wszystkiego tej nocy. Rzuciłem po prostu ślad i pobiegłem szerokim półkolem (zdaje mi się doprawdy, że po drodze chichotałem do siebie), aby zabiec drogę temu czemuś, co się ruszało czy posuwało — jeśli tam coś istotnie dostrzegłem. Podchodziłem Kurtza, jakby to była chłopięca zabawa.

[92] *wigilia* — tu: czuwanie (z ang.: *vigil*). [przypis edytorski]
[93] *ulster* — rodzaj męskiego wełnianego kaftana. [przypis edytorski]

Dopadłem go i gdyby nie usłyszał, że się zbliżam, byłbym się przewrócił o niego, ale podniósł się w porę. Dźwignął się niepewnie, długi, blady, niewyraźny jak opar wyzionięty przez ziemię, i chwiał się z lekka przede mną, mglisty i milczący; z tyłu za moimi plecami ognie majaczyły wysoko wśród drzew, a gwar licznych głosów szedł z lasu. Zabiegłem mu zręcznie drogę, ale gdy już przed nim stanąłem, wydało mi się, że odzyskuję przytomność: ujrzałem niebezpieczeństwo w całej jego grozie. Nie minęło jeszcze bynajmniej. Gdyby tak Kurtz zaczął wołać? Choć ledwie mógł się utrzymać na nogach, w głosie jego było jeszcze wciąż dużo siły.

— Niech pan odejdzie... niech pan się schowa — rzekł swym zwykłym, głębokim głosem.

To było bardzo straszne. Obejrzałem się. Znajdowaliśmy się o trzydzieści stóp od najbliższego ogniska. Czarna postać podniosła się i wielkim krokiem przeszła na długich nogach przez jasność padającą od ognia, machając długimi, czarnymi ramionami. Miała na głowie rogi — zdaje mi się, że antylopie. Był to z pewnością jakiś czarownik, jakiś zaklinacz: dość szatańsko na to wyglądał.

— Czy pan wie, co pan robi? — szepnąłem.

— Najzupełniej — odrzekł, podnosząc głos, aby wymówić to jedno słowo; zabrzmiało mi w uszach, niby dalekie, a jednak głośne. Miałem wrażenie, że Kurtz woła do mnie przez tubę. „Jeżeli zrobi awanturę, jesteśmy zgubieni" — pomyślałem. Nie była to oczywiście okazja do walki na pięści, nie mówiąc już nawet o tym, że czułem bardzo naturalny wstręt do bójki z tym Cieniem — z tą wędrującą i udręczoną istotą.

— Pan się zgubi — rzekłem — zgubi się pan bezpowrotnie.

Czasem, wiecie, oświeci człowieka taki błysk natchnienia. Powiedziałem właśnie to, co należało powiedzieć, choć Kurtz nie mógł zaiste być bardziej nieodwołalnie zgubiony niż właśnie w owej chwili, gdy powstawała nasza zażyłość, która miała trwać i trwać... aż do końca... a nawet jeszcze dłużej.

— Miałem olbrzymie plany — mruknął niepewnie.

— Tak — odrzekłem — ale jeśli pan zacznie wołać, roztrzaskam panu głowę... — W pobliżu nie było nawet kija ani kamienia. — Zaduszę pana — poprawiłem się.

— Byłem już u progu wielkich rzeczy — błagał głosem pełnym takiej tęsknoty, że krew zlodowaciała mi w żyłach. — A teraz przez tego głupiego łotra...

— Pańskie powodzenie w Europie jest w każdym razie zapewnione — rzekłem spokojnie. Nie miałem najmniejszej ochoty go dusić, jak rozumiecie — przy tym przyniosłoby to zaiste bardzo małą korzyść realną. Usiłowałem rozproszyć czar — ciężki, niemy czar dziczy — który zdawał się przyciągać Kurtza do bezlitosnej piersi, budząc w nim zapomniane i brutalne instynkty, pojąc go wspomnieniami zaspokojonych, potwornych namiętności. Byłem przekonany, że to go jedynie gnało ku skrajowi lasu, ku puszczy, w stronę blasku ognisk, dudnienia bębnów, niesamowitych zaklęć; tylko to znęciło jego pozbawioną hamulców duszę poza granice dozwolonych dążeń. I uważacie, groza położenia nie na tym polegała, że można było w łeb dostać — choć czułem bardzo żywo i to niebezpieczeństwo — ale na tym, że miałem do czynienia z istotą, do której nie mogłem przemówić w imię niczego na ziemi — wzniosłego czy też niskiego. Musiałem, zupełnie tak jak Murzyni, wzywać Kurtza jak bóstwo — jego samego — wzywać jego własny, ostateczny, niewiarygodny upadek. Nie istniało dla niego nic nad nim ani też pod nim i ja o tym wiedziałem. Kopnął ziemię i odbił się od niej. Do licha z tym człowiekiem! Nawet ziemia rozpadła się od jego kopnięcia. Był sam, a ja, stojąc przed nim, nie wiedziałem, czy jestem na ziemi, czy też pływam w powietrzu. Powiedziałem wam, cośmy mówili — powtórzyłem wam zdania, któreśmy zamienili — lecz po co? Były to pospolite codzienne słowa, znane dźwięki bez znaczenia, które wymieniamy każdego powszedniego dnia w życiu. Ale cóż z tego? Tkwiła w nich — ja to czułem — straszliwa wyrazistość słów słyszanych we śnie, zdań wypowiadanych wśród nocnych majaków. Dusza! Jeśli kto zmagał się kiedy z duszą, to ja się zmagałem. A przy tym nie miałem do czynienia z szaleńcem. Możecie mi wierzyć lub nie, ale umysł Kurtza był zupełnie jasny — wprawdzie skupiony na własnych sprawach ze straszliwą intensywnością, lecz jasny; i w tym jedynie leżała moja ucieczka — wyjąwszy oczywiście możliwość zabicia go na miejscu, co nie było takie celowe ze względu na nieunikniony hałas. Natomiast dusza jego uległa obłąkaniu. Znalazłszy się w samotności wśród dziczy, zajrzała w głąb samej siebie i przebóg! mówię

Język

Szaleństwo, Dusza

wam, że oszalała. Sądzę, że za swoje grzechy musiałem przejść przez tę próbę i zajrzeć Kurtzowi do duszy. Niczyja wymowa nie mogłaby być tak zgubna dla wiary człowieka w ludzkość jak ten ostatni wybuch jego szczerości. A walczył także i z sobą. Widziałem to — słyszałem. Widziałem niepojętą tajemnicę duszy, która nie zna żadnego hamulca, żadnej wiary, żadnego lęku, a jednak walczy na oślep sama z sobą. Panowałem nieźle nad swymi nerwami, lecz gdy doprowadziłem wreszcie do tego, że Kurtz legł na tapczanie, obtarłem sobie czoło, a nogi się trzęsły pode mną, jakbym zszedł z tego wzgórza, dźwigając z pół tony na grzbiecie. A tymczasem tylko go podtrzymywałem; kościste ramię obejmowało mi szyję — niewiele był cięższy od dziecka.

Gdyśmy ruszyli z miejsca następnego dnia o południu, tłum — z którego obecności za kurtyną drzew zdawałem sobie wciąż dokładnie sprawę — wypłynął znów z lasu, zapełnił polankę, pokrył zbocze masą nagich, dyszących, rozedrganych, brązowych ciał. Skierowałem statek w górę, potem zawróciłem w dół rzeki, a dwa tysiące oczu śledziły obroty dzikiego rzecznego demona, który wśród plusku i głuchych uderzeń bił wodę straszliwym ogonem i ział czarnym dymem w powietrze. Przed pierwszym rzędem tłumu trzech ludzi, umazanych od stóp do głów jasnoczerwoną ziemią, kroczyło niespokojnie wzdłuż brzegu tam i z powrotem. Gdyśmy znów zrównali się z nimi, obrócili się ku rzece, zaczęli tupać, kiwać głowami przybranymi w rogi, kołysać szkarłatnymi ciałami; potrząsali w stronę dzikiego demona rzeki pękiem czarnych piór i wyleniałą skórą z wiszącym ogonem, wyglądającą jak zasuszona tykwa; jednocześnie zaś wykrzykiwali co pewien czas chórem potoki zdumiewających słów, które nie były podobne do żadnych dźwięków ludzkiej mowy; a głęboki pomruk tłumu, urywający się nagle, brzmiał jak odpowiedzi jakiejś szatańskiej litanii.

Zanieśliśmy Kurtza do domku pilota; było tam więcej powietrza. Leżąc na tapczanie, patrzył przez otwartą okiennicę. W masie ciał ludzkich na brzegu utworzył się wir i kobieta o włosach upiętych w kształt hełmu, o ciemnych policzkach, zbiegła aż na skraj wody. Wyciągnęła ręce przed siebie, krzyknęła coś i cała ta dzika tłuszcza podjęła jej okrzyk wrzaskliwym chórem, skandując go szybko, bez tchu. Język

— Czy pan to rozumie? — zapytałem.

Patrzył wciąż ku brzegowi rozognionymi, spragnionymi oczami, z wyrazem pełnym tęsknoty i nienawiści. Nie odpowiedział, ale na jego bezbarwnych wargach zarysował się uśmiech — uśmiech o nieokreślonym znaczeniu, który po chwili ustąpił konwulsyjnemu skurczowi.

— Jakżebym nie rozumiał[94] — odrzekł powoli, chwytając ustami powietrze; zdawało się, że te słowa zostały mu wydarte przez jakąś nadnaturalną siłę.

Pociągnąłem sznur od gwizdawki, gdyż zauważyłem, że pielgrzymi na pokładzie wydobyli strzelby, a wyraz ich twarzy świadczył, iż cieszą się z góry jakimś dobrym kawałem. Niespodziewany gwizd wywołał ruch panicznej trwogi w zbitej masie ciał.

— Cicho, cicho! Pan ich wszystkich odstraszy! — krzyknął ktoś z pokładu strapionym głosem. Ciągnąłem za sznurek raz po raz. Rozsypywali się i biegli, skakali, pełzali, przechylali się, starając się ujść przed lotną grozą tego dźwięku. Trzech czerwonych drabów rozpłaszczyło się twarzami w dół, na brzegu, jakby ich ktoś zastrzelił. Tylko barbarzyńska, wspaniała kobieta nie drgnęła nawet i wyciągała za nami tragicznym ruchem nagie ramiona nad ponurą, iskrzącą się rzeką.

A potem tamta głupia czereda na dolnym pokładzie rozpoczęła swą miłą zabawę i dym nie pozwolił mi już nic dojrzeć.

Brunatny nurt płynął wartko z głębi ciemności, niosąc nas w dół ku morzu dwa razy szybciej niż przedtem w górę rzeki; a życie Kurtza biegło też szybko, odpływając i odpływając z jego serca ku morzu nieubłaganego czasu. Dyrektor był bardzo spokojny; nie miał już teraz powodu do istotnych obaw i ogarniał nas obu przenikliwym, zadowolonym spojrzeniem: cała historia skończyła się tak pomyślnie, jak tylko można było sobie życzyć. Widziałem, że zbliża się czas, kiedy z paczki zwolenników „niezdrowej metody" zostanę sam jeden. Pielgrzymi spoglądali na mnie niechętnie. Zostałem już, że tak powiem, zaliczony w poczet nieboszczyków. To dziwne, jak się łatwo zgodziłem na to nieprzewidziane

[94] *Jakżebym nie rozumiał* — w oryginale jest po prostu: *Do I not?* [przypis edytorski]

wspólnictwo, na ten wybór między koszmarami, narzucony mi w mrocznej krainie niepokojonej przez owe nędzne i chciwe widma.

A Kurtz rozprawiał. Jakiż on miał głos! Jaki głos! Dźwięczny, głęboki, aż do ostatniej chwili. Ten głos przeżył jego siły, aby skryć we wspaniałych zwojach elokwencji jałowy mrok jego serca. Och, jak ten człowiek walczył, jak walczył! Pustkę jego zmęczonego mózgu nawiedzały teraz mgliste obrazy — obrazy bogactwa i sławy, zjawiające się na zawołanie niewygasłego daru szlachetnej i wzniosłej wymowy. Moja narzeczona, moja stacja, moja kariera, moje pomysły — na te wszystkie tematy wypowiadał od czasu do czasu różne wzniosłe sentencje. Cień dawnego Kurtza stawał u łoża płytkiego pozera, którego losem był grób w pierwotnym czarnoziemie. Lecz zarówno szatańska miłość, jak nieziemska nienawiść Kurtza do tajemnic, które przeniknął, walczyły o posiadanie jego duszy nasyconej pierwotnymi wzruszeniami, goniącej za kłamliwą chwałą, fałszywymi zaszczytami, za wszelkim pozorem powodzenia i potęgi.

Czasami był dziecinny aż do śmieszności. Pragnął, aby spotykali go na stacjach królowie, gdy będzie wracał z jakiegoś upiornego Nigdzie po dokonaniu wielkich rzeczy.

— Trzeba pokazać, że się ma w sobie coś, co może innym przynieść pożytek, a wówczas spotyka człowieka bezgraniczne uznanie — mawiał. — Oczywiście należy zawsze zwracać uwagę na pobudki... słuszne pobudki... zawsze.

Długie wodne przestrzenie pomiędzy kolanami[95] rzeki, identycznie do siebie podobne, monotonne zakręty nie wyróżniające się niczym, przesuwały się obok parowca, zarośnięte gąszczem stuletnich drzew patrzących cierpliwie w ślad za tym umorusanym sadzą fragmentem innego świata, zwiastunem zmian, podboju, handlu, rzezi, błogosławieństw. Patrzyłem naprzód, kierując statkiem.

— Niech pan zamknie okiennicę — rzekł kiedyś Kurtz znienacka — nie mogę znieść tego widoku. — Usłuchałem go. Zapadło milczenie. — Och, dobiorę ci się jeszcze do samego wnętrza[96]! — krzyknął ku niewidzialnej puszczy.

Statek się rozbił — jak tego oczekiwałem — i dla jego naprawy musieliśmy się zatrzymać u przylądka jakiejś wysepki. Dopiero ta zwłoka zachwiała po raz pierwszy ufnością Kurtza. Pewnego rana wręczył mi pakiet papierów i fotografię — wszystko razem związane sznurowadłem.

— Niech pan to dla mnie zachowa — rzekł. — Ten szkodliwy bałwan (miał na myśli dyrektora) gotów szperać w moich kufrach, kiedy nie patrzę.

Widziałem go znów po południu. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami; cofnąłem się po cichu, ale usłyszałem, jak mruczał:

— Żyć sprawiedliwie, umierać... umierać...

Nadstawiłem ucha. Nic już nie usłyszałem. Czy powtarzał przez sen jakąś mowę? A może fragment zdania z dziennikarskiego artykułu? Pisywał dawniej do gazet i znów miał zamiar to robić „dla rozpowszechniania idei; to obowiązek".

Ten człowiek tkwił w nieprzeniknionym mroku. Patrzyłem na niego, jak się patrzy w dół na kogoś leżącego na dnie przepaści, gdzie słońce nigdy nie świeci. Ale nie mogłem mu poświęcać dużo czasu, bo pomagałem maszyniście przy rozbieraniu cieknących cylindrów, przy wyprostowywaniu zgiętego korbowodu[97] i innych tym podobnych sprawach. Żyłem w piekielnym rozgardiaszu wśród rdzy, opiłków, nakrętek, sworzniów[98], kluczy naśrubkowych, młotków, wiertarek — rzeczy, których nienawidzę, ponieważ nie umiem sobie z nimi poradzić. Zajmowałem się naszą małą kuźnią — mieliśmy ją na szczęście na statku; pracowałem ciężko wśród nędznego śmietniska — chyba że miałem za silne dreszcze, by się utrzymać na nogach.

Pewnego wieczoru, gdy wszedłem do Kurtza ze świecą, przestraszyłem się słysząc, że mówi trochę drżącym głosem:

— Leżę tu w ciemności i czekam na śmierć.

Światło znajdowało się o stopę od jego oczu. Zmusiłem się do szeptu: — Ale cóż znowu! — i stałem nad nim jak wrośnięty w ziemię.

---

[95] *kolana* — tu: zakola. [przypis edytorski]

[96] *Och, dobiorę ci się jeszcze do samego wnętrza* — w oryginale: *Oh, but I will wring your heart yet*, znaczące powtórzenie słowa z tytułu *The heart of darkness*. [przypis edytorski]

[97] *korbowód* — część maszyny napędzająca wał korbowy. [przypis edytorski]

[98] *sworzeń* — element łączący części maszyny w taki sposób, że mogą się one obracać. [przypis edytorski]

Czegoś zbliżonego do zmiany, która zaszła w jego rysach, nigdy przedtem nie widziałem i mam nadzieję już nigdy nie ujrzeć. Och, nie czułem żadnego wzruszenia. Ale byłem wprost urzeczony. Zdawało mi się, że zdarto z jego twarzy zasłonę. Dostrzegłem kolejno na tym obliczu z kości słoniowej wyraz ponurej pychy, bezlitosnej siły, przeraźliwego strachu, głębokiej i beznadziejnej rozpaczy. Czyżby przez tę ostatnią chwilę zupełnej samowiedzy przeżył na nowo swe życie ze wszystkimi szczegółami pragnień, pokus, poddania się? Wykrzyknął szeptem — zapewne na widok jakiegoś obrazu, jakiegoś widziadła — wykrzyknął po dwakroć szeptem, który nie był głośniejszy od tchnienia:

— Ohyda[99]! Ohyda!

Zdmuchnąłem świecę i wyszedłem z kajuty. Pielgrzymi siedzieli w jadalni przy obiedzie; zająłem zwykłe swe miejsce naprzeciw dyrektora, który podniósł na mnie pytający wzrok; zignorowałem to najzupełniej. Wówczas rozparł się w krześle z pogodą na twarzy i tym swoim szczególnym uśmiechem, pieczętującym bezdenną głębię jego pospolitości. Nieustanny deszcz drobnych muszek spływał na lampę, na obrus, na nasze ręce i twarze. Nagle *boy*[100] dyrektora wetknął przez drzwi bezczelną, czarną twarz i rzekł tonem obelżywej pogardy:

— Pan Kurtz... on umrzeć.

Wszyscy pielgrzymi wypadli, aby zobaczyć. Zostałem i jadłem dalej. Sądzę, że mnie uznano za brutalnie nieczułego. Nie jadłem jednak wiele. Tam wewnątrz paliła się lampa — wiecie, światło — na dworze było tak strasznie, strasznie ciemno. Już nie zbliżyłem się więcej do wybitnego człowieka, który wydał wyrok na ziemskie przygody swej duszy. Głos jego ucichł. Cóż tam było poza tym? Ale oczywiście wiedziałem, że pielgrzymi pochowali coś nazajutrz w błotnistej dziurze.

A potem — bardzo niewiele brakowało, by i mnie pochowano.

Jednakże, jak widzicie, nie poszedłem wówczas za Kurtzem. Nie. Zostałem, by prześnić ten koszmar do końca i by raz jeszcze wykazać swą lojalność w stosunku do tego człowieka. Przeznaczenie. Moje przeznaczenie! Śmieszna to rzecz, życie — owe tajemnicze kombinacje bezlitosnej logiki dla błahego celu. Co najwyżej można się spodziewać od życia odrobiny wiedzy o sobie samym — która przychodzi za późno i jest źródłem niewyczerpanych żalów. Zmagałem się wtedy ze śmiercią. To najmniej zajmująca walka, jaką sobie można wystawić. Człowiek prowadzi ją wśród nieuchwytnej szarzyzny, wśród pustki, bez gruntu pod nogami, bez widzów, bez wrzawy, bez chwały, bez wielkiego pragnienia zwycięstwa, bez wielkiej trwogi przed klęską, wśród chorobliwej atmosfery obojętnego sceptycyzmu, bez wielkiej wiary w słuszność własnej sprawy, a z mniejszym jeszcze przekonaniem o słuszności przeciwnika. Jeśli taka ma być najwyższa mądrość, to życie jest większą zagadką, niż przypuszczają niektórzy. Byłem o włos od owej chwili, kiedy człowiek może się wypowiedzieć po raz ostatni, i przekonałem się z upokorzeniem, że prawdopodobnie nie będę miał nic do powiedzenia. Dlatego właśnie twierdzę, iż Kurtz był wybitnym człowiekiem. On miał coś do powiedzenia. On to powiedział. Odkąd sam wyjrzałem poza krawędź, rozumiem lepiej jego wzrok, który nie mógł dostrzec płomienia świecy, lecz dość był dalekosiężny, by objąć cały wszechświat, dość przenikliwy, by przejrzeć wszystkie serca bijące w ciemności. Kurtz zsumował — osądził: „Ohyda!" Był to człowiek wybitny. Ostatecznie jego wyrok stanowił pewnego rodzaju wyznanie wiary; były w nim szczerość i przekonanie, była drgająca nuta buntu w owym szepcie, było przerażające oblicze prawdy ujrzanej w przelocie — osobliwe połączenie żądzy i nienawiści. I pamiętam najlepiej wcale nie swoją własną mękę — ową wizję bezkształtnej szarzyzny, przesiąkniętej fizycznym bólem i niedbałą pogardą dla znikomości wszelkich rzeczy — nawet dla tegoż samego bólu. Nie! Mnie się wydaje, że to jego śmiertelną mękę przeżyłem. Prawda, że on zrobił ów krok ostatni, że krawędź przestąpił, podczas gdy mnie dozwolono cofnąć wahającą się stopę. I może na tym polega cała różnica; może wszystka mądrość i wszystka prawda, i wszystka szczerość skupiają się właśnie w owej nieuchwytnej chwili, kiedy przekraczamy próg niewidzialnego. Może! Wolę przypuszczać, że nie byłbym zawarł swego stosunku do życia w słowie niedbałej pogardy. Lepszy jest okrzyk Kurtza — o wiele lepszy. Było to twierdzenie, moralne zwycięstwo okupione niezliczonymi klę-

[99] *ohyda* — w oryginale: *the horror!*. [przypis edytorski]

[100] *boy* — tu: służący (dosł. ang.: chłopiec). [przypis edytorski]

skami, ohydnym przerażeniem, ohydnym dosytem. Ale to było zwycięstwo! I właśnie dlatego pozostałem wierny Kurtzowi aż do samego końca, a nawet i poza koniec; aż do chwili, gdy w długi czas później usłyszałem raz jeszcze głos — już nie jego własny — lecz echo jego wspaniałej wymowy przekazane mi przez duszę przeźroczo czystą jak skała z kryształu.

Nie, nie pochowali mnie wówczas, choć jest pewien okres czasu, który widzę niby przez mgłę, wzdrygając się ze zdumieniem, jakbym wspominał przejście przez jakiś świat niepojęty, wyzuty z nadziei i pragnień. Znalazłem się znów w mieście grobów, podrażniony widokiem ludzi spieszących ulicami, aby zwędzić jeden drugiemu trochę pieniędzy, aby pożerać haniebnie przyrządzone posiłki, łykać niezdrowe piwo, snuć głupie i błahe marzenia. Narzucali się natrętnie moim myślom. Wiedza tych intruzów o życiu była dla mnie irytującym pozorem, ponieważ czułem z całą pewnością, że nie mogą wiedzieć tego, co ja wiedziałem. Ich zachowanie, które było po prostu zachowaniem pospolitych indywiduów zaprzątniętych interesami i przekonanych o swym zupełnym bezpieczeństwie, drażniło mnie jako niesłychana chełpliwość głupoty w obliczu groźnych okoliczności, których owa głupota nie jest w stanie zrozumieć. Nie chciało mi się bynajmniej uświadamiać tych ludzi, ale wstrzymywałem się z pewną trudnością od parskania śmiechem w ich twarze, tak pełne tępego zarozumialstwa. Może nie czułem się wówczas bardzo dobrze. Chodziłem po ulicach chwiejnym krokiem — musiałem pozałatwiać różne sprawy — strojąc gorzkie miny wobec różnych wielce szanownych osób. Przyznaję, że moje obejście było nie do darowania, ale też i temperaturę rzadko miewałem normalną w tych czasach. Wysiłki mej drogiej ciotki, usiłującej mnie podtrzymać na siłach, mijały się zupełnie z celem. To nie moje siły potrzebowały pokrzepienia; należało ukoić moją wyobraźnię. Przechowywałem paczkę papierów powierzonych mi przez Kurtza, nie wiedząc właściwie, co z nimi zrobić. Matka jego umarła niedawno, pielęgnowana, jak mi opowiadano, przez jego narzeczoną. Jakiś człowiek w złotych okularach, starannie ogolony i odznaczający się bardzo oficjalnym obejściem[101], odwiedził mnie pewnego dnia i rozpytywał — z początku podchodząc do tej sprawy z daleka, a potem nalegając ze słodyczą — o to, co mu się podobało nazwać „pewnymi dokumentami". Nie zaskoczył mnie tym, ponieważ jeszcze w Afryce miałem na ów temat dwie kłótnie z dyrektorem. Odmówiłem wówczas wydania najmniejszego skrawka z tej paczki i pozostałem przy swoim stanowisku wobec człowieka w okularach. Uciekł się w końcu do niejasnych gróźb i jął[102] bardzo gorąco dowodzić, że spółka ma prawo do każdej bez wyjątku informacji o swych „terytoriach".

Miasto

— Wiedza Kurtza o tych niezbadanych jeszcze okolicach — powiedział — musiała być z konieczności rozległa i szczególnie dokładna, dzięki jego wielkim zdolnościom i opłakanym warunkom, w których się znalazł; dlatego też...

Zapewniłem go, że wiedza Kurtza, aczkolwiek rozległa, nie dotyczyła zagadnień handlu lub administracji. Wówczas wezwał na pomoc naukę. „Byłoby stratą wprost niepowetowaną, gdyby" itd., itd. Wręczyłem mu raport o *Tępieniu dzikich obyczajów* oddarłszy przedtem postscriptum. Wziął go skwapliwie, a potem prychnął nań z pogardą.

— To nie jest to, czego mieliśmy prawo oczekiwać — zauważył.

— Nie oczekujcie nic innego — odrzekłem. — Reszta to tylko prywatne listy.

Wyszedł, zagroziwszy mi sądem, i już nie zobaczyłem go więcej; natomiast inny jakiś facet, mianujący się kuzynem Kurtza, ukazał się w dwa dni później i chciał koniecznie usłyszeć wszystkie szczegóły o ostatnich chwilach drogiego krewniaka. Mimochodem dał mi do zrozumienia, że Kurtz był właściwie wielkim muzykiem.

— Były w nim możliwości rokujące olbrzymie powodzenie — rzekł ów człowiek, organista, jak mi się zdaje; gładkie, siwe jego włosy spływały na zatłuszczony kołnierz surduta[103]. Nie miałem powodu wątpić o jego twierdzeniu; i do dziś dnia nie umiem powiedzieć, jaki był zawód Kurtza, czy w ogóle miał jakikolwiek, i który z jego talentów górował nad innymi. Wziąłem go z początku za malarza, który pisywał do gazet, czy za dziennikarza umiejącego malować — lecz nawet jego kuzyn (zażywający tabakę podczas rozmowy) nie umiał określić ściśle zawodu Kurtza. Był to uniwersalny geniusz — zgodziłem się co do tego ze starym jegomościem, który wytarł nos hałaśliwie wielką bawełnianą

[101] *obejście* — sposób zachowania. [przypis edytorski]
[102] *jąć* (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]
[103] *surdut* — rodzaj dwurzędowej marynarki, popularnej na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

chustką i wyszedł w starczym podnieceniu, unosząc kilka rodzinnych listów i jakieś mało ważne notatki. Wreszcie pojawił się u mnie dziennikarz pragnący dowiedzieć się czegoś o losie „drogiego kolegi". Poinformował mnie, że właściwą dziedziną Kurtza powinna była się stać polityka w „zakresie popularnym". Ów gość miał krzaczaste, proste brwi, monokl[104] na szerokiej wstążce, ostrzyżony był krótko na jeża i wyznał mi w przystępie szczerości, że Kurtz w gruncie rzeczy wcale pisać nie umiał — ale dalibóg! jak ten człowiek umiał mówić! Potrafił zelektryzować duże zgromadzenie. „Była w nim wiara — rozumie pan? — była w nim wiara. Potrafił wmówić w siebie wszystko — wszystko. Byłby został wspaniałym liderem skrajnej partii".

— Ale jakiej? — zapytałem.

— Jakiejkolwiek — odrzekł. — To był człowiek... człowiek... krańcowy. Czy pan tego nie uważa? — Przytaknąłem mu.

— A czy pan wie — zapytał z nagłym przebłyskiem zaciekawienia — z jakiego właściwie powodu wybrał się do Afryki?

— Wiem — odrzekłem i podałem mu natychmiast znamienity *Raport* dodając, że może go opublikować, jeśli to uzna za stosowne. Przejrzał go pośpiesznie, mrucząc coś ciągle pod nosem, uznał, że „to wystarczy", i wyniósł się wraz ze swą zdobyczą.

Kobieta

Tak oto w końcu zostałem z cienką paczką listów i fotografią dziewczyny. Wydawała mi się piękna — a raczej wyraz jej twarzy uderzył mnie swoją pięknością. Wiem, że i blask słońca może stać się narzędziem kłamstwa, ale czuło się, iż żadna gra światła, żadna poza nie mogłaby nadać tym rysom tak subtelnego odcienia szczerości. Zdawało się, że ta dziewczyna gotowa jest słuchać bez żadnego zastrzeżenia, bez podejrzeń, bez cienia myśli o sobie. Wreszcie postanowiłem pójść do niej, aby jej oddać fotografię i te listy. Ciekawość? Tak; a może jeszcze jakieś inne uczucie. Wszystko, co należało do Kurtza, przeszło przez moje ręce: jego dusza, jego ciało, jego stacja, jego plany, jego kość słoniowa, jego kariera. Pozostawała już tylko pamięć o nim i jego narzeczona — a pragnąłem niejako przekazać to również przeszłości — wydać wszystko, co po nim zostało, na pastwę zapomnienia, które jest ostatnim słowem naszego wspólnego losu. Nie bronię się. Nie miałem jasnego pojęcia, o co mi chodzi właściwie. Może powodowała[105] mną nieświadoma lojalność, a może było to wypełnienie owej ironicznej konieczności, która się czai w zdarzeniach ludzkiego życia. Nie wiem. Nie zdaję sobie sprawy. Ale poszedłem.

Myślałem, że wspomnienie o Kurtzu podobne jest do wspomnień o innych zmarłych, które gromadzą się w życiu każdego człowieka — jako niejasne odbicie w mózgu cieniów[106], co padły nań przelotnie a nieodwołalnie; lecz u wielkich, ciężkich podwoi, wśród wysokich domów ulicy równie cichej i porządnej jak dobrze utrzymana cmentarna aleja, ujrzałem wizję człowieka na noszach, otwierającego usta żarłocznie, jakby chciał pożreć całą ziemię wraz z całą ludzkością. Ożył w mych oczach, ożył jak najrealniej — ów cień niestety wspaniałych pozorów i straszliwej rzeczywistości; cień mroczniejszy od cieniów nocy, udrapowany okazale w zwoje pysznej wymowy. Zdawało mi się, że ta wizja wchodzi do domu wraz ze mną: nosze, ludzie dźwigający marę, dziki tłum karnych czcicieli, mrok lasów, połysk rzeki wśród ponurych zakrętów, łoskot bębna, miarowy i głuchy jak bicie serca — serca zwycięskiej ciemności. Była to chwila tryumfu dziczy, gwałtowne jej, mściwe najście, które — tak mi się zdawało — musiałem sam odeprzeć dla zbawienia czyjejś duszy. A wspomnienie o tym, co Kurtz mówił mi tam daleko — gdy rogate postacie poruszały się w blasku ognisk za mymi plecami, pośród cierpliwych lasów — wspomnienie owych urywanych zdań wróciło do mnie; usłyszałem znów słowa Kurtza w ich złowrogiej, przerażającej prostocie. Uprzytomniłem sobie znów nędzne jego prośby, nędzne pogróżki, olbrzymi zakres jego nikczemnych pragnień, podłość, mękę, burzliwe cierpienia jego duszy. I wydało mi się, że słyszę znów słowa, które wypowiedział kiedyś spokojnie i apatycznie:

„Ten transport kości należy w gruncie rzeczy do mnie. Towarzystwo za niego nie zapłaciło. Zebrałem go sam, narażając się na ogromne ryzyko. Obawiam się jednak, że

[104] *monokl* — soczewka korekcyjna noszona na jednym oku. [przypis edytorski]
[105] *powodować* (daw.) — kierować. [przypis edytorski]
[106] *cieniów* — dziś popr. forma D.lm: cieni. [przypis edytorski]

będą się go domagali jako swojej własności. Hm. To jest trudna sprawa. Jak pan myśli, co mam robić, upierać się przy swoim? Co? Ja chcę tylko sprawiedliwości..."

Chciał tylko sprawiedliwości — nic więcej; tylko sprawiedliwości. Zadzwoniłem u mahoniowych drzwi na pierwszym piętrze i czekałem, a on zdawał się patrzeć we mnie z błyszczącej mahoniowej tafli — patrzeć tym dalekosiężnym i wszechogarniającym wzrokiem, który obejmował, nienawidził, potępiał cały świat. Wydało mi się, że słyszę, jak wykrzykuje szeptem:

„Ohyda! Ohyda!"

Zapadał zmierzch. Czekałem w wysokim salonie o trzech długich oknach, sięgających od posadzki do sufitu, oknach, które wyglądały jak trzy jaśniejące, udrapowane kolumny. Wygięte, pozłacane nogi i oparcia mebli lśniły niewyraźnie krzywymi liniami. Wyniosły marmurowy kominek miał zimną, monumentalną białość. Masywny fortepian stał w rogu; płaska jego powierzchnia połyskiwała mrocznie jak ciemny, polerowany sarkofag. Wielkie drzwi otworzyły się — zamknęły. Wstałem z miejsca.

Zbliżyła się, cała w czerni; blada jej głowa płynęła ku mnie w zmierzchu. Była w żałobie. Więcej niż rok upłynął od jego śmierci, więcej niż rok od czasu, gdy przyszła o tym wiadomość; zdawało się, że ta kobieta będzie go zawsze pamiętać i opłakiwać. Ujęła obie moje ręce, szepcząc:

— Uprzedzono mnie o pańskim przyjściu.

Kobieta, Cierpienie, Czas

Zauważyłem, że nie była bardzo młoda — to znaczy nie wyglądała na dziewczątko. Czuło się w niej dojrzałą zdolność do wierności, do zaufania, do cierpienia. Miałem wrażenie, iż pociemniało w pokoju, jakby całe światło chmurnego popołudnia schroniło się na jej czole. Te jasne włosy, ta blada twarz, to czyste czoło były, rzekłbyś, otoczone szarą jak popiół aureolą, z której patrzyły ku mnie ciemne oczy. Spojrzenie ich było otwarte, głębokie, spokojne i ufne. Trzymała swą bolejącą głowę, jakby była dumna ze swego bólu, jakby chciała powiedzieć: ja — ja jedna umiem opłakiwać tego człowieka tak, jak on na to zasługuje. Lecz w chwili, gdy nasze dłonie trwały jeszcze w uścisku, wyraz strasznej rozpaczy pojawił się na jej twarzy i pojąłem, że ta kobieta należy do istot, które nie są igraszką czasu. Dla niej on umarł zaledwie wczoraj. I zaiste! to wrażenie było takie potężne, że i mnie się również wydało, iż umarł zaledwie wczoraj — nie, w tej oto chwili. Ujrzałem i ją, i jego w tej samej minucie — jego śmierć i jej boleść — ujrzałem jej ból w momencie jego śmierci. Rozumiecie? Widziałem ich razem — słyszałem ich razem. Rzekła z głębokim westchnieniem:

— Przeżyłam go — a mój wytężony słuch zdawał się słyszeć wyraźnie, obok jej głosu pełnego rozpaczliwej żałości, szept, w którym Kurtz zawarł wieczyste swe potępienie.

Zapytałem siebie, po co tu się właściwie znalazłem, i ogarnęła mnie taka panika, jak gdybym był zabłądził i trafił do miejsca pełnego okrutnych i bezsensownych tajemnic, których ludzka istota oglądać nie powinna.

Wskazała mi krzesło. Usiedliśmy. Położyłem paczkę delikatnie na małym stoliku, a ona nakryła ją dłonią...

— Pan go znał dobrze — szepnęła po chwili żałobnego milczenia.

— Ludzie tam się prędko zbliżają — rzekłem. — Znałem go o tyle, o ile człowiek może poznać drugiego człowieka.

— I podziwiał go pan — rzekła. — Niepodobna było go znać i nie podziwiać, prawda?

— Był to wybitny człowiek — rzekłem niepewnie. I zniewolony nieruchomym, wymownym jej wzrokiem, który zdawał się śledzić dalsze słowa na moich ustach, dodałem: — Niepodobna go było...

— Nie kochać — dokończyła żarliwie; oniemiałem z przerażenia. — Jaka to prawda! Jaka prawda! Ale niech pan pomyśli, że nikt go nie znał tak jak ja! Jego szlachetna dusza ufała mi bez granic. Ja go znałam najlepiej.

— Pani go znała najlepiej — powtórzyłem.

I może tak było istotnie. Lecz z każdym wymówionym słowem pokój się stawał mroczniejszy; tylko jej czoło, gładkie i białe, jaśniało niewyczerpanym światłem wiary i miłości.

— Pan był jego przyjacielem — ciągnęła. — Przyjacielem — powtórzyła trochę głośniej. — Pan musiał być jego przyjacielem, jeśli panu to powierzył, jeśli pana do mnie przysłał. Czuję, że mogę z panem mówić — i — och, muszę z panem mówić! Chcę, aby

pan — pan, który słyszał jego ostatnie słowa — wiedział, że byłam godna tego człowieka... To nie jest duma... Chociaż — tak! Jestem dumna z tej świadomości, że rozumiałam go lepiej niż ktokolwiek inny na ziemi — sam mi to powiedział. A odkąd jego matka umarła, nie mam nikogo, nikogo — aby... aby...

Słuchałem. Ciemność się pogłębiała. Nie byłem nawet pewien, czy Kurtz dał mi właściwą paczkę. Podejrzewam raczej, że chciał mi powierzyć inny plik papierów, które widziałem po jego śmierci w rękach dyrektora przeglądającego je pod lampą. A dziewczyna mówiła dalej, dając ulgę swemu bólowi w przekonaniu, że jej współczuję; mówiła tak, jak człowiek spragniony pije. Wspominano mi, że jej rodzina sprzeciwiała się zaręczynom z Kurtzem. Nie był dosyć bogaty czy też coś w tym rodzaju. I rzeczywiście nie jestem pewien, czy nie cierpiał niedostatku przez całe życie. Były pewne podstawy do przypuszczenia, że miał już dosyć tej względnej biedy i że właśnie to go wygnało tam daleko.

— ...Czy można było nie stać się jego przyjacielem, jeśli go się choć raz słyszało — ciągnęła dalej. — Pociągał ludzi ku sobie tym, co w nich było najlepsze. — Patrzyła we mnie usilnie. — To właściwość ludzi wielkich — mówiła, a jej niskiemu głosowi zdawały się towarzyszyć wszystkie dźwięki, które tam daleko słyszałem, dźwięki pełne tajemnicy, rozpaczy i smutku — szmer rzeki, szum drzew miotanych wiatrem, pomruk tłumów, słaby dźwięk niezrozumiałych słów krzyknięty z oddali, szept głosu odzywającego się zza progu wieczystej ciemności.

— Ale pan go słyszał! Pan wie! — zawołała.

— Tak, wiem — odrzekłem, czując w sercu coś na kształt rozpaczy, lecz pochyliłem głowę przed wiarą, która była w tej dziewczynie, przed jej wielkim i zbawczym złudzeniem, błyszczącym nieziemską jasnością wśród mroku, wśród tryumfującego mroku, przed którym nie byłbym mógł jej obronić — przed którym nie mogłem obronić nawet samego siebie.

— Co za strata dla mnie... dla nas! — poprawiła się ze szlachetną wspaniałomyślnością, po czym dodała szeptem: — Dla świata.

W ostatnich przebłyskach mierzchnącego[107] dnia widziałem blask jej oczu pełnych łez — łez, które spłynąć nie chciały.

— Byłam bardzo szczęśliwa... bardzo hojnie obdarowana przez los... bardzo dumna — mówiła dalej. — Zbyt hojnie obdarowana. Zbyt szczęśliwa przez krótką chwilę. A teraz jestem nieszczęśliwa... na całe życie.

Podniosła się; jasne jej włosy zdawały się chwytać wszystko pozostałe światło i lśnić złotem. Wstałem także.

— A z tego wszystkiego — ciągnęła żałośnie — ze wszystkiego, co zapowiadał, z całej jego wielkości, z jego wspaniałomyślnej duszy, jego szlachetnego serca nie zostało nic — nic prócz wspomnienia. Pan i ja...

— Będziemy go zawsze pamiętać — rzekłem pospiesznie.

— Nie! — krzyknęła. — Niepodobna, aby to wszystko przepadło — aby takie życie zostało poświęcone, nie zostawiając po sobie nic prócz bólu. Pan wie, jakie rozległe miał plany. Wiedziałam o nich także — nie mogłam ich może zrozumieć — ale inni o nich wiedzieli. Coś musi pozostać. Jego słowa przynajmniej nie umarły.

— Jego słowa pozostaną — rzekłem.

— I jego przykład — szepnęła do siebie. — Ludzie podziwiali go, dobroć jego jaśniała w każdym czynie. Jego przykład...

— To prawda — rzekłem. — Został też jego przykład. Tak, jego przykład. Zapomniałem o tym.

— Ale ja nie zapominam. Nie mogę — nie mogę uwierzyć — jeszcze nie mogę. Nie mogę uwierzyć, że nigdy go już nie zobaczę, że nikt go już nie zobaczy — nigdy, nigdy, nigdy.

Wyciągnęła ramiona jakby za cofającą się postacią, wyciągnęła czarne ramiona ze splecionymi białymi dłońmi na tle światła mierzchnącego w wąskich oknach. Nigdy go już nie zobaczy. A ja widziałem go jednak wyraźnie. Będę widział to wymowne widmo, póki żyję, i ją będę widział także jako tragiczny i bliski Cień — podobny w tym geście do

[107] *mierzchnącego* — dziś popr.: zmierzchającego. [przypis edytorski]

innego Cienia — również tragicznego, co pokryty bezsilnymi amuletami wyciągnął nagie, brunatne ramiona nad połyskliwą, piekielną rzeką, rzeką mroku. Odezwała się nagle bardzo cicho:

— Umarł, jak żył.

— Jego śmierć — rzekłem czując, że wzbiera we mnie głuchy gniew — była pod każdym względem godna jego życia.

— A mnie przy nim nie było — szepnęła.

Gniew mój ustąpił uczuciu niezmiernej litości.

— Wszystko, co tylko dało się zrobić... — mruknąłem.

— Ach, ale ja w niego wierzyłam więcej niż ktokolwiek na ziemi — więcej niż jego własna matka, więcej niż... on sam. Potrzebował mnie! Mnie! Była bym przechowała każde jego westchnienie, każde słowo, każdy znak, każde spojrzenie.

Poczułem jakby zimny ucisk na piersi.

— Niech pani przestanie — rzekłem stłumionym głosem.

— Przepraszam pana. Ja... ja tak długo opłakiwałam go w milczeniu — w milczeniu... Pan z nim był — do ostatka? Myślę o jego samotności. Nie miał przy sobie nikogo, kto by go rozumiał tak, jak ja go rozumiałam. Może nie było nikogo, kto by usłyszał...

— Byłem przy nim aż do ostatniej chwili — rzekłem drżącym głosem. — Słyszałem jego ostatnie słowa... — Zamilkłem, przerażony. Słowo, Imię

— Niech pan mi je powtórzy — szepnęła rozdzierająco. — Potrzebuję — potrzebuję — czegoś — aby — aby — z tym żyć.

O mało co jej nie krzyknąłem: czyż pani tych słów nie słyszy? Zmierzch powtarzał je naokoło uporczywym szeptem, szeptem, który zdawał się wzbierać groźnie jak szmer zrywającego się wiatru: „Ohyda! Ohyda!"

— Ostatnie jego słowa... abym miała z czym żyć — prosiła. — Czy pan nie rozumie, że ja go kochałam — kochałam — kochałam!

Opanowałem się i wyrzekłem powoli: Kłamstwo

— Ostatni wyraz, jaki wymówił, to było — pani imię.

Usłyszałem lekkie westchnienie i naraz[108] stanęło mi serce, zatrzymane przez straszliwy krzyk uniesienia, krzyk niepojętego tryumfu i niewypowiedzianego bólu:

— Wiedziałam — byłam pewna!...

Wiedziała. Była pewna. Słyszałem, jak płakała z twarzą ukrytą w dłoniach. Miałem wrażenie, że dom runie, nim zdołam uciec, że niebiosa zwalą mi się na głowę. Ale nic się nie stało. Niebiosa nie zapadają się dla takiej drobnostki. Ciekawym, czy by się zapadły, gdybym oddał Kurtzowi sprawiedliwość, na jaką zasłużył. Czyż nie powiedział, że pragnie tylko sprawiedliwości? Ale nie mogłem. Nie mogłem jej powiedzieć: byłoby się zrobiło za ciemno — beznadziejnie ciemno...

Marlow umilkł i siedział na uboczu, niewyraźny i milczący, w pozie zadumanego Buddy. Nikt się nie poruszył przez jakiś czas.

— Straciliśmy początek odpływu — rzekł nagle dyrektor.

Podniosłem głowę. Otwarte morze było zagrodzone czarną ławą chmur, a spokojny wodny szlak, wiodący do najdalszych krańców ziemi, ciągnął się, mroczny, pod zasępionym niebem, zdając się prowadzić w głąb niezmierzonej ciemności.

[108] *naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/conrad-jadro-ciemnosci

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, Młodość i inne opowiadania, tłum. Aniela Zagórska, Państwowy Instytut Wydawniczy 1956.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Agnieszkę Kozioł.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

ISBN 978-83-288-0127-1

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.